Kurier literacko naukowy

ROK IV. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 47

Przedruk artykułów bez zgody Redakcji wzbroniony.

Dr. JOZEF MAYER

Książka włoska o Polsce*)

Literatura obca o Polsce jest naogół dość uboga. Trudno się temu dziwić. Rzadkie wyjątki na tle ogólnego milczenia za czasów niewoli — potwierdzają raz jeszcze ten znany z dziejów fakt, że naród bez państwa jest czemś co łatwo uchodzi uwadze ludzi z daleka, obywateli nawykłych do myślenia kategorjami państwowemi. Dlatego książki owczesne o Polsce mają przeważnie charakter historyczny; mówią o dziejach czy literaturze Polski dawnej — nie dostrzegają niemal chwili bieżącej. I dopiero powstanie państwa polskiego zmienia kąt patrzenia; nie tyle przeszłość, ile raczej rodząca się nowa państwowość zwraca głównie uwagę. Zainteresowanie to ma jednak często charakter powierzchowny i zewnętrzny — dyktuje je aktualność chwili politycznej, a nie dążność do ujęcia istotnej treści rzeczywistości polskiej. Przykładem może być choćby literatura obca o Piłsudskim; skąpa za dni Jego trudu, rozlewna od chwili śmierci — momentu o katualności europejskiej.

Przy tego rodzaju nastawieniu brak często w dziełach obcych o Polsce ujęcia, któreby mówiło porówni o Polsce dawnej, obecnej i — nieomal — przyszłej; któreby z zwięzłym zarysem przemian dziejowych złączyło obraz tego, co trwa: polskiej ziemi i krajobrazu, a na tle związków z Europą uwypukliło jej odrębność i oryginalność — słowem — informowało wszechstronnie o Polsce.

Jeśli nieliczne są dzieła obce o Polsce, tem uboższa jest wśród nich literatura podróżnicza. Z Polski jeżdżono zawsze chętnie — do Polski o wiele rzadziej. „Nikt do nas, my na wszystkie posyłamy światy..." — możnaby sparafrazować słowa poety. Zrazu głównie Niemcy, urodzeni komiwojażerzy, pamiętali o nas w swych Handbuchach i Baedekerach. Pozatem było cicho i głucho — jak o jakimś dalekim, nieznanym kraju. Z czasem jednak, gdy opatrzyły się już utarte szlaki wszelakich międzynarodowych „turyzmów" — właśnie ta obcość, odrębność, — jeśli się tak można wyrazić — nieznaność stać się miała pierwszorzędnym atutem turystycznym. W Berlinie reklamuje się obecnie Białowieżę, już nie jako teren politycznych polowań, ale jako — „letzter Urwald in Europa", w Anglji organizuje się wycieczki do Polski, „nowego kraju dla wakacyj" — Europe's New Holiday Country.

Jeśli w tej propagandzie jakby nowoczesna parafraza owych dawnych czasów, kiedy z renesansowych Włoch z oświeconej Francji — wyruszali koryfeusze kultury do „dzikiej" Polski. Nastąpiło jednak pewne przesunięcie. Akcent pada nie na kraje „kultury" lecz na kraj nieznany — Polskę. Przez tyle wieków jeździliśmy zagranicę — dzisiaj zagranica przychodzi do nas. Bierzemy historyczny odwet: w trzysta lat zgórą po pierwszych przewodnikach polskich po Włoszech (1614) jawi się — najpełniejsza jak dotąd — książka włoska o Polsce,

Nie jest bynajmniej pierwszą. Wzmianki włoskie o Polsce występują na długiej przestrzeni wieków w listach legatów papieskich, przedstawicieli dworów, uczonych, artystów, podróżników... Tu i ówdzie ukazują się też dzieła specjalnie. W latach powojennych wychodzą dwie książki zasłużonego przyjaciela Polski konsula Ferruccio de Lupis: „La Polonia attraverso impressioni e ricordi" (Bologna, 1919), obejmująca szereg szkiców pisanych w czasie pierwszej podróży do Polski w latach 1902 — 1915 z nastrojowym artykułem o śniącym Krakowie („Cracovia dorme...") i „La Polonia vista in automobile. Note di viaggio" (Ferrara, 1928), stanowiąca niejako konfrontację dawnych wspomnień z czasów niewoli z obrazem Polski z pierwszych lat niepodległości. Książka, o której będzie mowa poniżej, rozszerza ramy czasowe wizerunku Polski współczesnej w literaturze włoskiej, doprowadzając go do lat ostatnich.

„DARIOSKI"

Uderza w niej odrazu, na karcie tytułowej, na pół polski pseudonim autora: „Darioski", skombinowany z imienia i nazwiska: Dario Lischi. Istotnie — tradycje rodzinne wywodzą go z polskiego rodu Liwskich, podobnie jak inny wypróbowany przyjaciel Polski w Italji, Eugenio Coselschi, znany z wycieczki kombatantów włoskich do Polski, pochodzi z rodu — Kościelskich. Lischi, literat i dziennikarz, związany w swych pracach blisko z faszyzmem („La Marcia su Roma", Firenze 1923 — „Novelle del Fascismo", Pisa 1931), jest zarazem autorem kilku interesujących reportaży z podróży („Viaggio di un cronista fascista in Cirenaica", Pisa 1934 — „Sguardo all'Egitto", w druku). Takiem jest też pochodzenie książki „Polonia d'oggi" — owoc wycieczki, odbytej w lecie 1934 roku.

Jeśli weźmiemy pod uwagę krótki stosunkowo okres pobytu autora w Polsce i pewną obcość — choćby nawet mimo tradycyj rodzinnych, nie wspomnianych zresztą w książce — środowiska, którą musiał przełamać, trzeba przyznać, że Lischi zobaczył w Polsce wiele, opisał zaś swoje wrażenia umiejętnie i sumiennie. Niemało dopomogła mu w tem niewątpliwie technika dziennikarska — a widać, że wyszedł z dobrej szkoły. Z cyfr, dat, statystyk rozsianych po książce obficie, a nie nużąco, znać rzetelne opanowanie materjału, udostępnionego zapewne przez polskie biura propagandy.

Założeniem autora było zbliżenie Polski do Włoch — tego rodzaju ujęcie tematu, któreby w oczach przeciętnego włoskiego czytelnika zdjęło z Polski znamię dalekiego, obcego kraju i uczyniło ją czemś — znanem, bliskiem, nieomal — pokrewnem. Cała struktura książki nastawiona jest na to zamierzenie, które — o ile sądzić można — w dużej mierze się powiodło.

TRADYCJE KULTURALNE

Wiadomo jakie znaczenie przywiązuje się dzisiaj we Włoszech do poczucia tradycji historycznej. Faszyzm, który w okresie 2.000-letniej rocznicy urodzin Wergiljusza przejął werset piewcy założenia Rzymu o doszukiwaniu się dawnych, trojańskich tradycyj: „Antiquam exquirite matrem", sam wyolbrzymił — zresztą trochę sztucznie — tradycje Włoch dzisiejszych przez związanie ich bezpośrednio ze starożytną Romą. Obywatel włoski, wychowany w poczuciu tradycji rzymskiej, która idzie w tysiąclecia, skłonny jest patrzeć przez ramię na narody inne, znacznie młodsze, które czasem niewiadomo skąd — w jego mniemaniu — wystąpiły po wojnie na arenie dziejowej. To też słusznie czyni Lischi, że zaraz na początku książki, w tytule pierwszego rozdziału, mówi o polskich „jedenastu wiekach historji", a gdzie indziej powiada: „Polska posiada swą historję, wprawdzie nie wielo - tysiącletnią, jak nasza, lecz naprawdę tysiącletnią". Nazywa ją też — „młodą, starodawną Republiką".

Tysiąclecie dziejów polskich ożywia Lischi obrazem trwałych, żywych związków pomiędzy Włochami a Polską. W miejsce tradycyjnej nazwy „przedmurza chrześcijaństwa" daje jej inną — przedmurza kultury łacińskiej, „baluardo di latinità". Autor operuje coprawda pojęciem kultury łacińskiej w swoisty sposób. „Cywilizacja polska jest w najgłębszej swej treści łacińska. Chociaż pochodzenie narodu jest słowiańskie, kultura polska przekształciła go duchowo, czyniąc go wiele bliższym szczepom łacińskim, niż słowiańskim. Mówimy — „łacińskim" w prawdziwem i pełnem znaczeniu tego słowa: łacińskim — to znaczy rzymskim, to znaczy — włoskim" („latini, cioè romani, cioè italiani"). O mało nie powie: — „faszystowskim" Tem charakterystycznem dla faszyzmu utożsamianiem pojęć — czyż nie czyni autor Polski bliską dzisiejszym Włochom?

Elementowi łacińskiemu przypisuje Lischi wszystko to, co jest dodatnie w polskiej psychice narodowej. Podkreśla patrjotyzm, zapał twórczy i tę głęboką moralną cechę dążenia do wielkości Ojczyzny poprzez doskonalenie się własne, — której niezapomniany wyraz dał Mickiewicz, mówiąc: „O ile powiększycie dusze wasze, o tyle powiększycie granice wasze", — a o której powiada Lischi, iż „stanowi najwyższe piękno duszy polskiej". „Głębokie przeniknięcie w umysły mądrości łacińskiej ukazywało narodowi w najtrudniejszych momentach — drogi jedynie słuszne i dobre..." Nie zawaha się mówić wprost o — „zbawieniu" Polski przez jej „ducha łacińskiego", i to kilkakrotnem: przy próbach ratowania dawnej Rzeczypospolitej, w walkach niepodległościowych, w r. 1920, w tworzeniu nowych form ustrojowych.

BEZKRWAWA ANEKSJA

Tej bezkrwawej aneksji całej kultury polskiej na rzecz Włoch towarzyszą nawet czasem pewne marzenia polityczne. Wspominając wpływy Rzeczypospolitej Weneckiej w dorzeczu Morza Czarnego, skąd promieniowały na Polskę — pisze: „Dlaczegóż faszyzm, który podjął dawne tradycje ekspanzjonistyczne naszego narodu, nie może ponowić też dawnych poczynań, nie może odnaleźć dawnych ujść, nie usiłuje wejść z powrotem na szlaki, wytyczone już przez tych, którzy — z nad brzegów naszego Adrjatyku — byli naszymi poprzednikami?"

Na razie jednak bardziej realnym dla wpływów włoskich okazuje się teren współpracy intelektualnej. Ożywiony tą tendencją wpada nawet autor zlekka w jednostronność: „W sztuce, w kulturze polskiej wyczuwa się potężny i głęboki wpływ sztuki i kultury

*) *(Dario Lischi „Darioski": Polonia d'oggi (Impressioni e ricordi) Pisa, Succ. Fratelli Nistri Editori, 1934, str. 203, 13 tabl.).*

włoskiej. Włoskimi byli architekci, rzeźbiarze i malarze, którzy wznosili najważniejsze pomniki, pałace i kościoły dawnej Polski, aż do czasów jej rozbiorów. Włoskimi byli kupcy, którzy przenikali w głąb kraju aż do wybrzeży Bałtyku. Włoska filozofja i literatura, które stworzyły podstawy dla polskiej". Wprawdzie w wielu miejscach swej ciekawej książki Lischi uwypukla inne elementy składowe kultury polskiej, jednak w ogólnym jej obrazie wpływy włoskie — zresztą z najlepszych chęci — niewątpliwie trochę przecenił.

Nie pominie też autor sposobności by wspomnieć imię włoskie, gdziekolwiek jest ono zapisane w Polsce: w historji, nauce, malarstwie, rzeźbie, architekturze... Że zaś na ogół nie przeładowuje swej książki nazwiskami polskiemi, których i tak zresztą obcy czytelnik zwykle nie zapamięta, powstaje przeto trochę paradoksalna sytuacja, iż w książce włoskiej o Polsce więcej znachodzimy nazwisk włoskich niż polskich. Ale też włoski czytelnik czuje się na jej kartach — jak wśród znajomych.

Aforyzm Sienkiewicza, iż człowiek ukształtowany posiada dwie ojczyzny: własną i — Italję, powraca anonimowo w dziele Lischi'ego kilkakrotnie. Oblicza Polski i Italji mają rysy pokrewne. „Są miejsca w Polsce, gdzie wydaje się nam, że jesteśmy we Włoszech, do tego stopnia wygląd zewnętrzny i otoczenie podobne jest do włoskiego". Dotyczy to przedewszystkiem Krakowa — polskiej Florencji — którego Rynek wydaje się autorowi tak bliski „jak własny dom, jak znany zakątek, który równie dobrze mógłby stać w Medjolanie, Florencji, Rzymie". Lecz hasło książki brzmi: „L'Italia è presente da per tutto — Italja jest wszędzie". To też na każdym niemal kroku Lischi znajduje liczne echa włoskie. Wydaje się przytem, że mottem autora mogłyby być słowa, wypowiedziane o renesansie w Krakowie, iż wydaje się, że się go widzi wszędzie, nawet tam, gdzie go niema.

Istotnie Lischi dostrzega czasem — Włochy tam, gdzie ich niema. Pomińmy szczegóły — dla przytoczenia wzmianki słów, w których... włoską staje się nawet oglądana z Kopca Unji Lubelskiej panorama Lwowa — „o liniach czystych, harmonijnych, delikatnych, wspaniałych, prostych, pogodnych, naszych — włoskich".

MIMOWOLNA HUMORYSTYKA

Żarliwy zapał do podchwytywania wszystkiego w Polsce, co jest „essenzialmente latinizzante, se non proprio latino" (a wiadomo już, że co łacińskie to włoskie) czyni autora czasem — trochę naiwnym. W rozdziale: „Pokrewieństwa duchowe polsko - włoskie" wspomina — kelnerów, którzy mówili po włosku, a o żebraku, byłym jeńcu wojennym, który zaczepił go mieszaniną nieparlamentarnych wyrażeń włoskich, mówi jako o — duchu łacińskim (spiritaccio latino). Fakt, że „Adrja" warszawska mieści się w domu włoskim (Assicurazioni Generali) też sprawia mu przyjemność.

W Warszawie nastraja go zresztą patrjotycznie byle widok ukwieconych balkonów i okien. „Przeważa białe czerwone geranjum — barwy polskie, które z zielenią liści tworzą najpiękniejszą banderę włoską..." Jeszcze zabawniejsze jest inne równie „patrjotyczne" porównanie: w Gdańsku przyrównuje kolorystyczne zestawienia malowanych domów do — lodów, oczywiście „włoskich": „una cassata in grande stile". Refleksje smakowe prześladują autora w Gdańsku na dobre: na stacji częstują go piwem i salami o — 7 rano, kiedy on „con tanta nostalgia" marzy o — „caffè espresso" W restauracji niemieckiej kuchnia wywołuje nowe westchnienia za — makaronem z parmezanem.

Czasem jednak nastrój „włoski" stoi na wyższym poziomie. Kiedy podczas wizyty u duchownego karaimskiego w Trokach rozmowa potoczy się po łacinie, wywoła to następującą uwagę Lischi'ego: „Jak widać, w tym dziwnym kraju nawet najbardziej fanatyczni Żydzi mówią po łacinie" i dodaje patetycznie: „O mowo Ojców jakże słodko brzmisz hen, na ostatnich rubieżach Zachodu!" Zostawmy jednak tę mimowolną humorystykę.

SYMPATJE KATOLICKIE

W wytworzeniu się pokrewieństwa polsko - włoskich znaczenie równorzędne kulturze łacińskiej przypisuje Lischi — katolicyzmowi. Autor okazuje żywy sentyment dla polskich uczuć religijnych. Kilkakrotnie mówi o Polsce „cattolicissima". Jak niemal wszystkich Włochów uderza go fakt zdejmowania kapeluszy przed kościołem — rzecz niespotykana nigdzie we Włoszech. Po drodze z Krakowa do Warszawy zatrzymuje się w Częstochowie, „polskiem Lourdes", której „poetyczną i symboliczną nazwę Jasnej Góry" tłumaczy na włoskie: „Montagna luminosa". Przy opisie pielgrzymek, zebranych u stóp „Czarnej Madonny — Madonna Nera" uderza go nietylko nastrój religijny mas, ale i ich folklorystyczna barwność. Z zachwytem mówi o Matce Boskiej Ostrobramskiej „jakby ze szkoły włoskiej, sieneńskiej może, może Giotta lub jego poprzedników". Opowiada legendę o tem, jak bolszewicy, ustępując z Wilna, odstrzelili ręce obrazowi, a dym wystrzału przyciemnił oblicze. „Lecz Jej piękność nadziemska pozostała nietknięta".

ZAGADNIENIA POLITYCZNE I USTROJOWE

W naświetleniu politycznego znaczenia Polski przez autora znać — szkołę włoską. Związki z Francją i Rumunją ocenia nieprzychylnie. Pierwsza — zdaniem jego — była zainteresowana w utrzymaniu napięcia polsko - niemieckiego dla własnych celów — dzięki związkowi z drugą na polityce polskiej odbijały się wstrząsy bałkańskie. Wskutek tego Polska przedstawiała podówczas „raczej element niebezpieczny dla pokoju, aniżeli element ładu i równowagi". Temu okresowi „niepokoju" przeciwstawia Lischi czasy obecne. Zwracając uwagę na położenie Polski pomiędzy dwoma imperjalizmami: pruskim i sowieckim, zneutralizowane ostatnimi paktami, dzisiejszą Polskę ocenia jako „un elemento di pacificazione".

Lischi porusza w swej książce szerzej niektóre zagadnienia polskie o doniosłości międzynarodowej: kwestję „korytarza", problem Gdańska, sprawę Wilna. Daje zarys historyczny rozwoju stosunków polsko - niemieckich. Podkreśla, że wcielenie Pomorza do Polski w 1454 roku „było przywróceniem (restituzione) nie zdobyczą, ile że „zdobyte" było — przez Niemców". Stan obecny, o którym powiada ostrożnie, że „non sta a noi giudicare", uważa za niepomyślny dla obu stron: dla Niemiec spowodu rozdziału ziem, dla Polski — spowodu wciśnięcia tak ważnej arterji pomiędzy dwie granice obcego państwa. Wywodzi nakoniec historyczne i etniczne uprawnienia Polski do tych ziem. Stanowisko ogólne autora w tej sprawie ilustruje jeden drobny, jednak znamienny szczegół: stworzone przez propagandę antypolską słówko „Corridoio" (w cudzysłowie), użyte skąpo na początku rozdziału, przemienia się potem prawie niespostrzeżenie w jedynie słuszną nazwę — „Pomerania".

Problem Gdańska — „polskiego, chociaż rozbrzmiewa w nim niemiecka mowa" — łączy się ze sprawą Gdyni. Lischi zwraca uwagę na zwiększenie się obrotu handlowego od czasów powstania zaplecza polskiego, uwagi zaś o szkodliwości konkurencji Gdyni przekreśla oświadczeniem, że dwa porty dla Polski to chyba raczej — za mało. W opisie Gdyni posługuje się kontrastami: pejzaż z 1924 roku to sielanka — obraz z 1934 roku to poezja „sztuki mechanicznej — tej, którą wyśpiewał Marinetti". W ustępie o Gdyni zaznacza się może najsilniej to, co stanowi duży urok książki Lischi'ego: pełna optymizmu wiara w męski rozmach i siłę twórczą Polski.

Kwestję wileńską potraktował Lischi w sposób znamiennie zwięzły, oparty na realiźmie faktów politycznych, uznając, że decyzja Konferencji Ambasadorów z 1923 roku ustaliła ostatecznie granice Polski, likwidując tem samem całą sprawę.

Zagadnienia ustrojowe występują w dziele „Polonia d'oggi" tu i ówdzie — i trudno się domyśleć w jakiem oświetleniu. „Historja destrukcyjnego parlamentaryzmu nie zaczyna się dopiero z w. XX. objawiła się o wiele wcześniej. Polska jest jej jaskrawym przykładem". W nowej konstytucji podnosi ideę autorytetu, zdyscyplinowaną hierarchję, odpowiedzialność rządów, zasadę kollaboracji. Przecenia może w tem tylko „wpływ przykładu naszego, faszystowskiego, który stworzył szkołę nie tylko dla Polski, lecz i dla wielu innych państw". Faszysta, dopatrujący się w kierunku tym uniwersalnego lekarstwa na wszystkie bolączki całego świata, nie może nie wspomnieć — Mussoliniego. Jest to jedna z charakterystycznych cech dzisiejszych pisarzy włoskich, że o czemkolwiek będą pisali — zawsze uczynią wkońcu takie „salto", że przecież jego imieniem zamkną książkę. Lischi czyni tak kilkakrotnie. Odskok od przygany polskich dróg do pochwały włoskich kończy się peanem na cześć kontynuatora dzieła starożytnych Rzymian wytyczania nowych szlaków. Sam fakt, że w Polsce mówi się poprostu: Mussolini „tout court" — napawa go radością. Na tle wszystkich zbieżności polsko - włoskich postać Mussoliniego urasta do granic pewnego symbolu dla obu krajów — „Człowieka o pełni ducha łacińskiego" jako „Tego, który z Italji przewodzi losom narodów". Tym aktem hołdu kończy się książka — o Polsce.

STRUKTURA WEWNĘTRZNA

Strukturze wewnętrznej państwa poświęca Lischi wiele uwag, rozsypanych po całej książce. Wiadomo jakie znaczenie przywiązuje się dzisiaj we Włoszech do polityki populacyjnej. Lischi omawia szczegółowo przyrost naturalny w Polsce w zestawieniu z innemi krajami. Podkreśla, iż na skutek wyższego niż gdzie indziej procentu narodzin w stosunku do liczby ludności, Polska ma tendencję do pozostania narodem młodym w przeciwieństwie np. do Niemiec.

Z mniejszości narodowych poświęca Lischi trochę uwagi tylko Żydom. Z jednej strony interesuje go ich egzotyka: zwiedza Ghetto wileńskie, we Lwowie patrzy, jak „z synagogi wychodzą piękne kobiety z dziećmi, radujące wprost serce", opisuje stroje oglądane w Krakowie podczas uroczystości żydowskiego Nowego Roku. Z drugiej strony dowiaduje się, że Żydzi opanowują życie publiczne, „sięgając nawet do Ministerstw". Kończy obrazkiem rozmowy dwóch przeciwników - Żydów wobec autora: adwokata, który dowodzi że „antysemityzm jest anachronizmem" i nawołuje do asymilacji, czemu przeciwstawia się drugi interlokutor, rabin. Lecz autor sam nie wypowiada się zupełnie. Jak wszyscy Włosi nie rozumie tego zagadnienia, pochodząc z szczęśliwego kraju, w którym liczba ludności żydowskiej nie sięga — 50 tysięcy.

W opisie stosunków gospodarczych Polski Lischi operuje swobodnie szczegółowemi cyframi, dostarczonemi mu przez Bank Gospodarstwa Krajowego w Warszawie. Jedyne uchybienie to pominięcie monopolu zapałczanego w rozdziale poświęconym monopolom państwowym. Osobny ustęp poświęca też Lischi ruchowi kooperatywnemu w Polsce, dając zarówno jego historję (za pierwszą placówkę uważa stowarzyszenie założone przez opata Jordana w Pabjanicach w 1715 roku), jak i szczegółowy obraz dzisiejszy. To, samo ujęcie znachodzimy w odniesieniu do prasy polskiej: od „Merkurjusza Polskiego" Jana Aleksandra Gorczyna z 1661 roku do prasy bieżącej, w której autor orjentuje się wcale nieźle. Podkreśla podobieństwo pomiędzy prasą polską a włoską, polegające na rozmieszczeniu czasopism o pewnem znaczeniu również w różnych ośrodkach prowincjonalnych — w przeciwieństwie np. do ich skupiania w Paryżu. Na liczbie prasy mniejszościowej okazuje przykładowo jak liberalną jest Polska w stosunku do swych mniejszości. Nakoniec zajmuje się szkolnictwem, podnosi wysoki poziom nauki polskiej i daje — trochę zbyt ogólnikowy — obraz literatury i sztuki współczesnej, podkreślając, że z powodu naśladownictw rozlicznych szkół i kierunków nie wydobyła się jeszcze na swą własną drogę, nie stworzyła prawdziwej „arte polacca".

OBLICZE ZIEMI

Podobnie jak w obrazie kultury polskiej — urozmaica Lischi opis Polski szeregiem zestawień i porównań z Italją, przez co wizja nieznanego kraju staje się niewątpliwie bardziej plastyczną w oczach włoskiego czytelnika. Sucha cyfra kilometrów kwadratowych obszaru Polski nabiera wyrazu dzięki notatce, że obejmuje on 78 tysięcy klm. kw. więcej niż Włochy. Gdy podkreśla długość polskich rzek, widać, że rysuje mu się przed oczyma ich kontrast z krótkiemi naogół rzekami apenińskiego półwyspu. Podkreślenie lesistego charakteru krajobrazu należy do tej samej kategorji. Kluczową pozycję Lwowa wobec łuku wschodnich Karpat uzmysłowi zestawieniem z położeniem Turynu wobec Alp, kopaln-

wielickie — z grotami w Postumi kryształy soli — z wyrobami z Murano. Nawet w szczegółach stosuje Lischi tę metodę. Jeśli kto nie słyszał we Włoszech o Towiańskim za pośrednictwem Attilio Begey'a, dowie się o nim od Lischi'ego jako o przyjacielu Fogazzara. Opisując wnętrza kościołów polskich, podkreśli, że są „nagie i bez marmurów — rzecz, która dla nas wydaje się niemożliwą w katedrach". Pomnik ks. Józefa nazwie wprost imitacją pomnika Marka Aurelego. Kooperatywy polskie, rozwijające również działalność oświatową przyrówna do włoskich „Dopolavoro", Związek Strzelecki — do organizacyj młodzieży faszystowskiej, odbudowę państwa — do tworzenia przez Włochy nowego życia na odzyskanych „terre venete".

W całej książce „Polonia d'oggi" widać, że autor jej chce mówić o Polsce jak najlepiej. Przychodzień z najpiękniejszego kraju pod słońcem — oceni pochlebnie walory krajobrazu naszego, zwąc Polskę krajem turystyki „per eccelenza". Lischi doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że pewne rzeczy w Polsce mogą mieć istotnie dla cudzoziemca walor swoistej egzotyki. Dla Włocha będą niemi: Białowieża, łowy, kopalnie węgla, Wieliczka, tereny naftowe — to też autor stara się opisać je barwnie i sz. oko, z literackim zacięciem. Pozatem wszędzie widać ujmującą gotowość pochwały Polski. Niktby chyba nie przypuścił, że po wspaniałych panoramach kolei włoskich nasza nudna linja: Kraków — Lwów doczeka się z ust Włocha nieza służonej zaprawdę nazwy: malowniczej — „pittoresca". Jedynie na widok północnego morza trudno mu się oprzeć westchnieniu południowca: „Żegnaj, Bałtyku, — piękny, potężny, wspaniały, malowniczy... Lecz nasze Morze Śródziemne — któreż z niem się porrówna?" Nie znaczy to jednak, by Lischi nie dostrzegał też polskich braków, wyraża się jednak o nich z dużą dyskrecją. „Drogi polskie pozostawiają wiele do życzenia" — pisze krótko i tłumaczy żartobliwie, że wobec innych walorów Polski dzieje się to tylko dlatego, że.... „pełnia szczęścia nie jest nam dana na ziemi". Nawet popularne „kocie łby" bruków wileńskich postara się przetłumaczyć na włoskie — „muso di gatto".

Nazwy polskie podane są naogół bezbłędnie. Rzecz niełatwa dla cudzoziemca w języku, o którym sam powie, iż wyrazy w nim napisane wydają się — rebusami nie do rozwiązania. Obco brzmią niekiedy formy: Dwina (Dźwina), Pripet (Prypeć). Trudno zaś się domyśleć w nazwie „Sambro" — naszego Sambora. Poprawność form czysto polskich dowodzi staranności korekty. Tem trudniej przeto zrozumieć pomyłkę w przekręceniu nazwiska — włoskiego: Bacciarelli na Bucciarelli. Chyba zawinił tu zwykły djablik drukarski?

KOMEDJA OMYŁEK

Nastrojeni sympatycznie dla autora przez entuzjazm jego dla Polski, bądźmy pobłażliwi dla niektórych niedokładności. Kiedy pisze, że Prusy otrzymały w rozbiorach część najbogatszą w płody kopalniane, ma na myśli chyba Śląsk, nie należący wówczas do Polski — już od kilku wieków. Aresztowania studentów wileńskich i zamknięcie Uniwersytetu łączy razem pod r. 1832. Szatę obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej przypisuje „gu ...owi bizantyńskiemu, wywodzącemu się z rosyjskości". Samo zaś Wilno przyrównuje — zdaje się niesłusznie — do typu miast północno - bałtyckich. W Gdańsku ogląda wieżę, w której w czasie wojny miano jakoby więzić Piłsudskiego. O kolumnie Zygmunta III, pisze jako o — relikwji, „wokoło której w chwilach nieszczęść gromadzi się cała ludność, wznosząc prośby do Boga o wspólne zbawienie".

Wspominając o zatrudnianiu Włochów w dawnych żupach wielickich chciałby przyznać im zasługę powzięcia pierwszej idei stworzenia kopalni. Również haft zakopiański wywodzi się — jego zdaniem — z Włoch, „przeniesiony w pomroce dziejów z nad brzegów Adrjatyku, z suwerennej Wenecji, której tyle śladów znachodzimy w tych odległych stronach". W Krakowie z zachowanej jedynie wieży ratuszowej uczyni Municypjum. Czasem też dopatrzy się autor rzeczy, których najczęściej trudno dojrzeć. Z Wawelu podziwia panoramę Krakowa „z Tatrami w głębi". Te Tatry widzi też z okien wagonu w czasie podróży z Krakowa do Lwowa. We Lwowie wśród rozlicznych świątyń dopatrzy się nawet — moskei muzułmańskiej, i będzie twierdzi, że „są w nim napewno muzułmanie — na przedmieściach, a więcej jeszcze było ich przed wojną, kiedy Austrja pozwalała tam osiedlać się swym poddanym z Bośni i Hercegowiny, czcicielom Allaha". Lwów wogóle trochę nie miał szczęścia do p. Lischi'ego. Czuje w nim „coś rosyjskiego — del russo". O Kopcu Unji Lubelskiej powie, że usypała go „pobożna pamięć żołnierzy na niezniszczalną pamiątkę i uczczenie zwycięstw i poległych za Ojczyznę", ze szczytu zaś jego dojrzy „w mgłach oddalenia — ufortyfikowaną twierdzę, Przemyśl". Gorzej, że odpowiedzialnością za to obarczy swego cicerona, dra Piszczkowskiego, z którego zrobi — jeden błąd więcej — nauczyciela języka włoskiego w Uniwersytecie lwowskim.

ILUSTRACJE

Należy jeszcze wspomnieć o szacie ilustracyjnej książki. Zdobi ją szereg fotografij skomponowanych na 13 tablicach. Na dwóch pierwszych widzimy Marszałka Piłsudskiego, Prezydenta Mościckiego i Ministra Becka — trzy oblicza, które reprezentują Polskę w oczach Zachodu. Reszta zdjęć — to widoki z Polski. Materjał ilustracyjny w książce obcej o danym kraju ma to samo znaczenie, co i książka. O obojgu można zacytować słowa, które ze względu na język omawianej książki będą całkowicie na miejscu — słowa Mussoliniego: „Il libro ha qualche volta il valore di una ambasciata". Niestety — polskie biura propagandy nie spełniły tym razem swego zadania. A przecież o odpowiedni materjał nietrudno: wystarczy sięgnąć do Bułhaka lub otworzyć który z tomów „Cudów Polski" Wegnera. Wskutek tego zaniedbania powstała w danym przypadku pewna dysproporcja pomiędzy opisem Polski — a jej obrazem. Pogarsza sytuację nieszczególny papier użyty na tablice. Przy komponowaniu po kilka fotografij na poszczególnych tablicach nie trzymano się jednolitej zasady. Zdjęcia jednego miasta są rozrzucone często tu i ówdzie, bez żadnej myśli przewodniej tworzenia takiego właśnie układu. Lwów np. mieści się na jednej tablicy. Dlaczego jednak w takim razie zdjęcie lwowskiego domu Massarich umieszczono wśród dymiących kominów śląskich? Co gorsza, sąsiedztwo to wyszło bardzo na niekorzyść lewkowi św. Marka z kamienicy Massarich, o którym tak wiele mówi się w książce, a którego ani rusz nie można dojrzeć na bardzo lichej fotografji. Może mu zaszkodziły owe dymy śląskie? — Kościół św. Piotra i i Pawła w Wilnie, nazwany w tekście „Chiesa degli Italiani", nazwano na ilustracji przez pomyłkę katedrą. Kraków, „ który jest cały jednym hymnem na cześć łacińskości" (latinità) reprezentują tylko dwa zdjęcia: kościół Marjacki i ogólny widok katedry na Wawelu. A gdzież dziedziniec wawelski czy kaplica Zygmuntowska — tak bliskie Italji? Lepiej wypadły już zdjęcia z procesji łowickiej, Borysławia i Białowieży, reprezentujące ów element „egzotyczny" w Polsce, o którym była mowa wyżej.

* * *

Tak się przedstawia w ogólnych zarysach sympatyczna książka, poświęcona zapoznaniu Polski i Włoch. Dotąd znaliśmy do nich jedną drogę: wielowiekowa tradycja nadał jej nazwę: — „Iter Italicum". Młoda książka włoska jest jedną z pierwszych prób wytyczenia drogi nowej — „Iter Polonicum". Rozpięte na dwóch krańcach Europy — są to odcinki tego samego szlaku. Łączy je wspólna wielowiekowa tradycja kultury katolickiej i łacińskiej. Ostatnie zdania książki Lischi'ego: „Nic nas nie dzieli — wszyst ko zdaje się skłaniać do jedności serc i umysłów", czyż nie brzmią, jak echo słów posła włoskiego w Polsce z czasów renesansu, Guarini'ego: „I luoghi son ben lontani, ma gli animi son vicini" — „Kraje są odległe, ale duchy — bliskie"?

Spina, - zatopione miasto

Przed paru tygodniami w pięknym renesansowym pałacu, zwanym Palazzo di Lodovico il Moro, we Ferrarze, nastąpiło otwarcie Muzeum grecko - etruskiego. Zawiera ono niezwykle bogatą, a jedyną w swoim rodzaju kolekcję wyrobów ceramicznych oraz przedmiootów bronzowych, przedstawiających nieocenioną wartość dla archeologji i historji.

Wszystkie te przedmioty, w liczbie ponad 1200 sztuk, pochodzą z odkopanej w ciągu ostatnich lat nekropoli w Valle Trebba i w Comacchio.

Interesującą jest historja tych odkryć archeologicznych, rzucających nowe światło na legendarne miasto Spina, o którem pierwsze ogólnikowe wzmianki znajdujemy w Plinjuszu, Diomicjuszu z Halkarnasu, Strabonie i Justynie.

Wedle wzmianek tych istniało ongi bogate i kwitnące miasto, położone w okolicy między Rawenną a ujściem rzeki Po. Miasto to nosiło od niepamiętnych, przedhistorycznych czasów nazwę „Spina", a założone zostało przez kolonistów greckich, między VI a III wiekiem przed Chrystusem.

Z pomocą Etrusków stworzyli w tem miejscu port i ważne emporjum handlowe, przyczem najważniejszym artykułem eksportowym były wyroby ceramiczne.

Okres ten świetności nie trwał jednak długo: rzeka Po zmieniała parokrotnie swe koryto, w następstwie czego Spina odsuwała się coraz dalej od morza, którego miejsce zajmowały stopniowo piaski i bagna.

Strabon podaje, że za czasów Augusta Spina była już tylko niewielką wioską, — a wedle Plinjusza w drugiej połowie pierwszego wieku cesarstwa Spina zniknęła zupełnie.

Odkrycia obecne nastąpiły zupełnie nieoczekiwanie i przypadkowo. Już przed kilkunastu laty rząd włoski opracował projekt asanizacji i osuszenia rozległych bagien i lagun w okolicy Comacchio. W roku 1922 podjęto roboty na większą skalę. Wówczas to robotnicy pracujący nad budową kanałów odwadniających, wykopali szereg szkieletów ludzkich i piękne wazony greckie, bogato zdobione.

Wszystko wskazywało na to, że ma się tu do czynienia z resztkami jakiejś starożytnej nekropoli. Rozpoczęto systematyczne poszukiwania pod fachowem kierownictwem prof. Augusta Negrioli. Praca to była żmudna i trudna, — z uwagi na bardzo rozległy, bagnisty teren.

Ale wyniki jej przeszły wszelkie oczekiwania: W ciągu kilku lat odkryto całą nekropolę, odkopano parę tysięcy grobowców i wydobyto z nich ogromną ilość cennych przedmiotów.

Grobowce były dwojakiego typu: w jednych chowano zmarłych, składając wraz z nimi do grobu liczne przedmioty codziennego użytku, jak wazony miski, brosze, puhary, świeczniki, przybory toaletowe itp. W innych natomiast składano w małych urnach jedynie popioły zmarłych, których po śmierci palono.

Większość tych przedmiotów uległa w ciągu wieków zniszczeniu pod działaniem wody i piasku. Niektóre ze znalezionych wazonów porozbijane były na kilkadziesiąt kawałków, które trzeba było z ogromną cierpliwością i znajomością rzeczy składać i zlepiać.

W ten sposób zrekonstruowano i odrestaurowano ogółem przeszło 1200 rozmaitych przedmiotów, — w tem liczne wspaniałe amfory greckie, ozdobione w śliczne płaskorzeźby, przedstawiające rozmaite sceny z mitologji greckiej, jak: oswobodzenie Hery, walkę gigantów, Herkulesa, Satyrów i Menady itd.

Większość tych przedmiotów pochodzi z szóstego i piątego wieku przed Chrystusem, a więc z czasów największego rozkwitu sztuki ceramicznej w Grecji.

Są to prawdziwe dzieła sztuki, imponujące zarówno kompozycją, jak doskonałym rysunkiem i techniką.

Archeologowie włoscy, prowadzący te prace wykopaliskowe, tj. wspomniany już prof. Negrioli, dr. Ducati i prof Aurigemma, są przekonani, że ma się tu do czynienia z przedhistorycznem cmentarzyskiem bajecznego miasta Spina.

Cmentarzysko to leży na północ od drogi prowadzącej z Ostellato do Comacchio; natomiast samo miasto winno — zdaniem archeologów — znajdować się na południe od tej drogi. Na tym terenie nie przeprowadzano dotychczas żadnych prac ani poszukiwań. Toteż spodziewać się można, że w miarę dalszego postępu robót czekają świat naukowy dalsze, niemniej interesujące odkrycia (R.)

KAZIMIERZ RYCHŁOWSKI

Matka w poezji światowej

Jest znany, piękny, aforyzm francuski: *„tout comprendre, c'est tout pardonner"*. Nie znamy jego genezy. Przypuszczam jednak, że musiał on powstać jako komentarz do miłości matczynej, bo tylko ta jedna, najczystsza, bezinteresowna, a ofiarna miłość zdolną jest wznieść się na te wyżyny, zdolną jest wszystko zrozumieć i wszystko wybaczyć swemu dziecku.

Zdolną jest do tej przedziwnej sublimacji uczuć, w której zatraca się poczucie własnego „ja", w której żadna ofiara nie wydaje się zbyt wielką, gdy idzie o dobro, szczęście lub ratunek ukochanego dziecka.

Serce matki! Ileż hymnów pochwalnych wypisano na jego cześć! Ileż potężnych dramatów i wzruszających powieści czytaliśmy o matce we wszystkich językach świata! I o skamieniałej w boleści Niobe, i o matce bohaterce, stającej z odwagą lwicy w obronie dziecka. I o tej matce — ofiarnicy, co długie godziny nocy trawi nad pracą, by dziecku zapewnić dach nad głową i kawałek chleba, choćby z uszczerbkiem własnym. I o tylu, tylu innych!

Oto tragiczna, pełna grozy sylwetka starej wdowy z *„Balladyny"*. Wypędzona z pałacu, oślepła, nędzny łachman człowieka, żali się przed pustelnikiem na wyrodną córkę. Ale wraz zastrzega się:

nie pójdę z tobą, bo się będziem kłócić
o piękność imion naszych córek. Moja...
Ach, gdybyś ty mię z grobu chciał ocucić,
wołaj: Bladina!...

Kiedy zaś staje przed sądem ze skargą na wyrodne dziecko, a kanclerz domaga się od niej wyjawienia imienia córki, aby ją dosięgła zasłużona kara, — nie chce o tem ani słyszeć:

Co? śmierć na córkę?... Panie, bądź mi zdrowy,
żegnaj królowo, ja wracam do boru...

I nie wyjawia tego imienia nawet na torturach.

Słowacki, który matce swej poświęcił przepiękne strofy, nie bez racji wprowadza w „Balladynie" wdowę w ostatniej, kulminacyjnej scenie dramatu. Ta zbrodnia Balladyny przeważyła szalę: oto sama bohaterka, po długiem pasowaniu się ze sobą, rzuca wyrok „Winna śmierci!", sprowadzając piorun na swą występną głowę. Bo to była jej najcięższa, nie do wybaczenia zbrodnia.

Aby dać chociaż pobieżny przegląd całej literatury pięknej, poświęconej matce i miłości macierzyńskiej, — trzebaby zapełnić długie szpalty, — co jednak i tak ani w przybliżeniu nie wyczerpałoby tematu.

Ograniczyć się zatem muszę do zacytowania paru celniejszych utworów poetyckich z literatury wszechświatowej.

* * *

Najpiękniejszą może syntezę miłości matczynej dał wybitny poeta francuski XIX wieku, *Jan Richepin*, w swym wierszu *„Serce matki"*:

Zła dziewka, zimna niby głaz
— ej hejże ino
hejże ha —
zła dziewka, zimna niby głaz
tak do kochanka mówi raz:
Twej matki serce przynieś tu
— ej hejże ino
hejże ha —
twej matki serce przynieś tu,
a dam je zeżreć memu psu!

Więc zabił matkę — tryska krew
— ej hejże ino
hejże ha —
więc zabił matkę, — tryska krew,
wyrywa serce z matki trzew.

Gdy niósł swej dziewce krwawy płat
— ej hejże ino
hejże ha —
gdy niósł swej dziewce krwawy płat,
o kamień potknął się i padł.

A serce matki cicho łka:
— ej hejże ino
hejże ha —
A serce matki cicho łka:
„potłukła się dziecina ma?"....
(przekład własny)

Podziwiamy tu przedziwnie zwartą konstrukcję wiersza, gdzie w ramach paru zwrotek, naśladujących ton ballady ludowej potrafił poeta zamknąć i przedstawić z niezwykłą ekspresją cichy dramat serca matczynego. Daruje ono swemu dziecku wszystko zgóry je rozgrzesza... jedyną troską tego serca jest pytanie, czy ten ukochany chłopiec sam nie poniósł jakiejś szkody!

Podobną mniejwięcej myśl wyraża też i drobny wierszyk autora *„Księgi dżungli"*, *Rudyarda Kiplinga*, pomieszczony na wstępie jego powieści *„Światło, które zagasło"*. Wierszyk ten cytujemy w doskonałym przekładzie *Józefa Birkenmajera:*

Jeśli mnie powieszą na najwyższej górze,
matulu moja, o matulu moja,
wiem, w czyich oczach jeszcze na miłość zasłużę
matulu moja, o matulu moja.

Jeżeli mnie utopią w najgłębszej mórz toni,
matulu moja, o matulu moja,
wiem, czyja słona łezka i tam mnie dogoni
matulu moja, o matulu moja,

Jeśli będę potępion na ciele i duszy,
matulu moja, o matulu moja,
wiem, czyj pacierz mnie zbawi i niebiosa wzruszy,
matulu moja, o matulu moja,

* * *

Pełnym głębokiego liryzmu jest też poemat głośnego w swoim czasie poety francuskiego *Gabriela Randon*, znanego w literaturze pod pseudonimem *„Jehan Rictus"*. Poeta to był bólu i nędzy ludzkiej, szukający natchnienia wśród tych parjasów społeczeństwa, znoszących w pokornem milczeniu swój ciężki los. Pierwsze jego poezje, pisane w żargonie paryskim, *„Soliloques du pauvre"*, recytowane w modnym podówczas kabarecie *„Quat'z - Arts"*, były prawdziwą rewelacją dla zblazowanych burżujów z drugiej połowy zeszłego wieku.

Z tego też zbiorku pochodzi jego prześliczna *„Jasante de la Vieille"*, wzruszający monolog nieszczęśliwej matki nad grobem jedynaka, straconego na gilotynie za jakąś zbrodnię. Biedna „stara" przeżywa we wspomnieniach całe ich wspólne życie, wszystkie swoje smutki i drobne radości, zawiedzione nadzieje... Ona jedna nie wierzy i nie uwierzy nigdy, by jej jedynak mógł być naprawdę tak złym! Ona jedna nigdy o nim nie zapomni... i boleje tylko nad tem, że już mu nic pomóc nie może!

* * *

Zajrzyjmy teraz do literatury niemieckiej: oto *Henryk Heine*, ten niepoprawny kpiarz, co nie potrafił nikogo i niczego uszanować, — ma jednak w swej bogatej i dźwięcznej lutni przedziwnie czułe i serdeczne akordy, kiedy idzie o matkę.

Poświęcił jej dwa sonety, zatytułowane *„Do mojej matki"*. Oto jeden z nich:

Rzuciłem cię, w szaleńczym wręcz obłędzie
i cały świat przejść chciałem wkrąg, szalony,
szukając wciąż miłości upragnionej,
co życie me serdecznie mi oprzędzie.

Szukałem jej, wędrując na wsze strony
wciąż łudząc się, że tu, lub indziej będzie,
u każdych drzwi miłościm żebrał onej
i nienawiścią darzono mnie wszędzie.

I tak miłościm szukał — wciąż daremnie
i nikt miłością nigdzie mnie nie raczył..
i do dom wreszcie wróciłem w rozpaczy.

Tyś matko wyszła natenczas przedemnie,
a to, com dojrzał na dnie twego oka,
to była właśnie ta miłość głęboka.

* * *

Jedną z najczystszych, najwspanialszych pereł literatury światowej jest *„Śmierć Azy"* z poematu dramatycznego *Henryka Ibsena: „Peer Gynt"*, do którego Grieg skomponował prześliczną nastrojową ilustrację muzyczną.

Poemat ten przyswoił językowi naszemu *Jan Kasprowicz*.

Widzimy oto starą Azę w nędznej izbie. Leży na swojem wąskiem, krótkiem łóżku, a obok przysiadł jej ukochany Peer. Śmierć zagląda jej w oczy.

Peer Gynt wspomina lata dziecinne i ten

...tapczanik za krótki?... To ten,
na którym, chłopaczek ja młody,
sypiałem?.... Pamiętasz, jak w sen
tuliłaś swe dziecko, siedząca,
o, tutaj?...

I wiezie swą matkę przez fantastyczne błonia i fjordy do raju bram:

...Piotr święty już czeka,
do jasnych zaprasza cię bram...
Otwórzcie się, złote wierzeje,
Peer Gynt chce swą matkę tu wieść!
Hej, panie ty Pietrze, mój święty,
a rusz mi się z miejsca, a rusz!
Tu nanic wszelakie wykręty,
bo gdzież jest godniejsza śród dusz?
— — — — — — —
Lecz wy ją szanujcie! To złota,
to słodka jest matka, — ja wiem!
Nikt lepszy nie wejdzie w te wrota...

A kiedy Aza zamknęła już oczy na zawsze, Peer Gynt nachyla się ku niej, szepcąc:

...dziękuję, dziękuję najszczerzej
za cały twój żywot bez plam...

* * *

Wreszcie parę słów o listach do i od matki. Oto prześliczne *„Listy Matczyne" Józefa Birkenmajera*, oto rzewne posłanie do *„Matuli mojej"* przed wcześnie zgasłego *Józefa Mączki*.

Pełnym szczerego wzruszenia jest też wiersz francuskiego współczesnego poety i powieściopisarza, *Maurycego Magre'a: „Najlepsze listy"*:

Ach, nie niszcz ty listów od twojej matki,
bo każdy z nich miłością tchnie bez granic.
Zachowaj je, jak klejnot drogi, rzadki,
którego nikt nie może kupić za nic.

„Ach Boże mój,... co robi ma dziecina,
jak spędza czas, jak się jej wszystko darzy..."
Ach, taki list głos drogi przypomina
i grube łzy na starej, drogiej twarzy.

List, pełen trosk i skrytych niepokoi,
którego treść łzy skryte czasem zmącą,
— nie dotknie cię, a każdy ból ukoi
ten dobry list, pisany ręką drżącą.

„Tak mi dziś żal, żeś odszedł w swoją drogę,
opuścił nas, jedyne moje dziecię!
Ni pomóc ci, ni ustrzec cię nie mogę..."
Czyż może być wznioślejsza miłość w świecie?

I czyż cię kto ukochać zdoła szczerzej?
Jak cudny kwiat, który się w książce suszy,
tak listy te przechować się należy,
bo w każdym z nich zamknięta cząstka duszy.

Od młodych lat, w pieszczoty tak bogatych,
przywykłeś już, że miłość ci dawano.
Lecz taki list, gdy czytasz, wspomnij na tych,
co nigdy już tych listów nie dostaną.

Cytuję ten wiersz nie bez powodu. Bo oto niedawno wpadł mi w ręce wiersz młodej polskiej pisarki, *Stanisławy Sznaper*, zatytułowany: *„List do matki"*

Pod ciemnym, zmokniętym namiotem,
Na pryczy wilgotnej leżę.
Nie napiszę, że tęsknię za Tobą,
Bo wiem, że mi nie uwierzysz.

Tyle razy odchodzimy od siebie;
Życie waśni nas i rozgania.
A gdy wracam, nie uwierzysz już Matko
Że znów jestem Twoja. Ta sama.

Więc nie mówię Ci nic o tem wszystkiem.
Poco masz mnie o fałsz posądzać?
Sama z moją miłością rozmawiam
W dni bez ludzi, bez snów i bez słońca.

Ja tu, w mojej tęsknocie zawzięta,
Ty tam, w Twojej niewierze uparta —
Między Tobą i mną — odległość.
A w niej wszystko z między nas zawarte.

Zestawmy te dwa wiersze, — dopiero wtedy uprzytomnimy sobie, jaką olbrzymią ewolucję przeszedł ten sam prawie temat na krótkiej przestrzeni kilkudziesięciu ostatnich lat!

Jak ostro i przykro brzmią te słowa polskiej poetki, słowa, z których przebija nieufność, zniechęcenie i dziw na obcość!

Czyżby naprawdę tak się wszystko zmieniło? Czyżby dancingi, brydże, wyemancypowanie się młodzieży, przedwcześnie dojrzewającej, spod wpływu domu rodzicielskiego, — zabiły w młodych sercach miłość i ufność do matki? Czy trzeba dopiero specjalnego „dnia matki", by uczucia te obudzić na nowo, na jeden dzień, od parady?

Chyba nie! Nie zmieniło się i nie zmieni nigdy serce matki, kryjące w sobie nieprzebrane skarby miłości.

Tylko miłość ta jakby cofnęła się w głąb, jakby przycichła... Czeka, gotowa na każdy apel, zawsze jednako cicha i ofiarna, w dobrej i złej doli.

Serce matki bije zawsze jednakim, głębokim rytmem...

Czy rodzaj ludzki chyli się do upadku?

Sensacyjną książkę Aleksandra Carrel'a pt. „Człowiek, wieczna zagadka", omawia na łamach jednego z pism paryskich, znany publicysta francuski Raymond Recouly, snując ciekawe uwagi krytyczne. „Człowiek, wieczna zagadka" Aleksandra Carrel'a, to książka wysoce wartościowa, otwierająca czytelnikiem szerokie horyzonty, zmuszająca go do zastanowienia się nad samym sobą. Tematem jej jest człowiek, istota mimo wszystko niezbadana i tajemnicza.

Autor książki, dr. Carrel, słynny lekarz i filozof jednocześnie, jest z pochodzenia Francuzem, zamieszkałym od wielu lat w Stanach Zjednoczonych. Instytut Rockefellera umożliwia mu studja i badania naukowe, zwolniwszy go od wszelkich trosk materjalnych i wykonywania praktyki lekarskiej.

Podjąwszy słynne powiedzenie Sokratesa: „Poznaj samego siebie", Carrel jest zdania, że istnieje nauka o człowieku. Polega ona na uważnem obserwowaniu równoczesnem ciała i ducha, jako pozostających ze sobą w ścisłym związku. Nic błędniejszego, nic bardziej samowolnego, jak rozdział, robiony między nimi przez niektórych filozofów.

Istota ludzka tworzy całość jednolitą i nierozerwalną. Ktoś, ktoby chciał ją wytłumaczyć, musiałby po wysiłku zanalizowania, dokonać równie wielkiego wysiłku syntezy.

Niezwykła wszechstronność Carrel'a czyni go pokrewnym wielkim umysłom Odrodzenia, których genjusz był w istocie swej encyklopedyczny. Jego książka zachwyciłaby Rabelais'ego — podobnie jak on sam — lekarza i filozofa.

Czem jest ciało ludzkie? Cudowną, zdumiewającą maszyną, którą Carrel rozkłada na poszczególne koła i kółka, na naczynia, gruczoły, mięśnie, podkreślając ich wzajemne wpływy, kładąc nacisk na czynnik główny, regulujący ich harmonijne współdziałanie.

Po maszynie, motor. W jaki sposób duch wciska się w materję? I czy — jeśli można ulepszyć maszynę — udałoby się również udoskonalić motor? Usprawnić aparat myślowy, zdolność chcenia i rozumienia, zmysł moralny i poczucie estetyki?

W czem leży tajemnica tego udoskonalenia, które miałoby ludzkość uczynić szczęśliwą, lepszą i silniejszą równocześnie?

Odpowiedź — zdaniem Carrel'a — jest bardzo prosta. Polega na obraniu drogi wprost przeciwnej temu, co się robiło od trzech czwartych wieku w dziedzinie wychowania fizycznego, intelektualnego i moralnego. Wystarczy dać wolne pole selekcji, która obecnie nie dochodzi do głosu.

To, co przemówcy — rozdający nagrody w rozlicznych konkursach — nazywają postępem, jest dla autora jedynie postępowaniem w odwrotnym kierunku. Podziela on odnośnie do „idjotyzmów dziewiętnastego stulecia" prawie wszystkie zapatrywania Leona Daudet'a. Gdyby się chciało osłabić człowieka fizycznie i ogłupić intelektualnie, nie możnaby do tego celu wybrać krótszej drogi.

Czy wiecie dlaczego — pyta autor — dzisiejszy Amerykanin jest mniej silny, mniej odporny na choroby, mniej zdolny do walki o egzystencję, niż jego dziadek, czy pradziad, twórcy wielkości i „prosperity" amerykańskiej? Osłabienie to jest bezpośrednią konsekwencją tego, co się nazywa nowoczesnym komfortem, centralnem ogrzewaniem, samochodem i t. d....

„Tężyznę człowieka mierzy się jego elastycznością, jego zdolnością przystosowania się do zmian klimatu, do wahań temperatury. Jeśli chodzi o większość ludzi, elastyczność ta dzisiaj prawie że nie istnieje. Człowiek przyzwyczaja się coraz więcej do atmosfery cieplarnianej, w której gnuśnieje i więdnie.

„Samochód zwalnia go i będzie jeszcze w większym stopniu zwalniał od potrzeby chodzenia, chociaż chód jest najzdrowszą i najnaturalniejszą gimnastyką człowieka. Dzieci, nawet mieszkające na zapadłych wioskach, zamiast się udawać pieszo do szkoły — jak się to działo do niedawna — przewozi się dzisiaj od drzwi do drzwi autobusami. Starsi starają się wszelkiemi sposobami uczynić je bardziej wymagającemi, delikatniejszemi, usuwając od nich najmniejszy wysiłek, najmniejsze zmęczenie."

„Rząd oraz instytucje prywatne, mnożące się w Stanach Zjednoczonych bez końca, wydają rok rocznie olbrzymie sumy, aby kosztem ogromnych wysiłków i wydatków, przedłużyć egzystencję dzieci słabowitych, rachitycznych, zdegenerowanych, które pozostaną zawsze ciężarem dla społeczeństwa. Bezpośrednią konsekwencją tych starań i wysiłków jest to, że w naszych szpitalach i przytułkach znajdują się w tej chwili dwa miljony indywiduów, warjatów lub półwarjatów, chorych nieuleczalnie, kalek wszelkiego rodzaju. Jeśliby ci ludzie — nieszczęściem — mieli mieć dzieci, daliby życie istotom nieuchronnie jeszcze bardziej upośledzonym jak rodzice".

Przenieśmy te uwagi z dziedziny fizycznej do dziedziny intelektualnej i moralnej. Będziemy mieli jasne i logiczne wytłumaczenie upadku, zaznaczającego się w Stanach Zjednoczonych jak i we Francji w funkcjonowaniu reżimu demokratycznego i parlamentarnego.

Normalny porządek tego reżimu wyklucza egzystencję elity, która sama jedna może dostarczyć narodom przywódców, godnych tego nazwania. Elita taka istnieje jeszcze do pewnego stopnia w Anglji, co pozwala temu krajowi zachować — bez większych niedogodności — system parlamentarny. Zanika, lub jest w trakcie zanikania we Francji i w Stanach Zjednoczonych. W jednym i drugim kraju, ludzie, których lud wybiera a raczej cierpi jako swoich przedstawicieli, nie są jednostkami najlepszemi, lecz przeciwnie, są często lichemi — niejednokrotnie najgorszemi — kreaturami.

Utrzymywanie, jakoby ludzie byli równymi między sobą, jest przeciwieństwem prawdy, jest najkardynalniejszem głupstwem.

Natura, jeśli się ją obserwuje uczciwie, dowodzi czegoś wprost przeciwnego. Są ludzie mocni i ludzie słabi. inteligentni i głupcy, ci ostatni stanowią nieszczęściem, ogromną większość.

Pierwsi są stworzeni do rozkazywania, drudzy do słuchania rozkazów. W godzinie obecnej, role te są odwrócone.

Dobrze zrozumiany postęp powinien polegać na dążeniu do fizycznego i moralnego udoskonalenia tych pierwszych, którzy są przeznaczeni do kierowania, do pociągnięcia za sobą reszty. Niestety dziś dzieje się odwrotnie. Tłum ściąga ku sobie, zniża do własnego poziomu tych wszystkich, którzy byliby raczej powołani do panowania nad nim.

Czy byłoby możliwe ukonstytuowanie najpierw, a następnie udoskonalenie takiej elity? Autor jest przekonany, że jest możliwe. Zaleca w tym celu środki bardzo nowe, niezmiernie oryginalne. Nie waha się pójść stanowczo w kierunku przeciwnym do uznanych opinij, przeciw powszechnie przyjętym zasadom.

M. O

„Remember the fifth of November!"

Dzień 5 listopada jest corocznie radosnem świętem w Londynie, obchodzonem skrupulatnie od trzystu trzydziestu lat. Jest to przecież rocznica słynnego **„spisku prochowego"** w r. 1605, kiedy to Guy Fawkes, z zapalonym lontem w ręku, zakradł się do podziemi parlamentu, z zamiarem wysadzenia w powietrze całego gmachu wraz ze wszystkimi znajdującymi się w nim gentlemanami z królem.

Beczki prochu leżały już przygotowane poprzednio. Niewiele brakowało, aby plan spiskowców się udał. — Na szczęście jednak, niemal w ostatniej chwili, dzielna gwardja królewska, **„the yeomen of the Guard"**, odkryła sprzysiężenie i wyratowała Anglię od katastrofy.

Wdzięczni Anglicy obchodzą pamiątkę tego dnia wesołemi obchodami, w których biorą udział zarówno dorośli, jak młodzież: **„Remember, remember the fifth of November!"** — jest hasłem dnia. Przez ulice przeciągają rozśpiewane tłumy dzieciaków, dziwacznie poprzebierane, zbierając „jednego Penny dla biedgo Guya".

Dzień 5 listopada jest też świętem historycznej gwardji królewskiej z Towru, która do dziś dnia spełnia z całem namaszczeniem swe tradycyjne funkcje. Jedną z najważniejszych jest obowiązkowe przeszukanie wszystkich piwnic parlamentu przed jego każdorazowem uroczystem otwarciem. Nie znajdą tam coprawda beczek z prochem, jak za czasów „spisku prochowego". W nowocześnie urządzonych podziemiach parlamentu, wśród przewodów telefonicznych, elektrycznych i wodociągowych, piętrzą się dziś baterje... doskonałych win i wódek dla członków izb ustawodawczych...

Nie przeszkadza to jednak, że gwardja przechodzi uroczyście przez wszystkie po kolei ubikacje, aby wypełnić swój obowiązek. A widok to zaiste niecodzienny: barczyści, brodaci wojacy, w historycznych mundurach, skrojonych ściśle wedle pierwszego wzoru, datującego się z roku 1485, z czasów panowania Henryka VII...

Gwardja ta miała niegdyś liczniejsze i ważniejsze funkcje do spełnienia. Za panowania Henryka VIII musieli gwardziści słać codziennie własnoręcznie łóżko królewskie, musieli przeprowadzać ścisłą rewizję całego gmachu w poszukiwaniu za ukrywającymi się możliwie zamachowcami, musieli wreszcie próbować osobiście wszystkich potraw i napoi przed podaniem ich na stół królewski.

Po raz ostatni **„the ycomen of the Guard"** wąchali naprawdę proch w roku 1743, walcząc u boku króla Jerzego II. Od tego czasu spełniają raczej rolę dekoratywną, występując jedynie przy ważniejszych uroczystościach, jak np. przy otwarciu parlamentu, przy rozdzielaniu przez parę królewską jałmużny w święta wielkanocne i t. p.

Wówczas to mieszkańcy Londynu mogą nasycić oczy widokiem tych gwardzistów, co przed 330 laty przysłużyli się dobrze ojczyźnie wykryciem „spisku prochowego".

(r.)



Remember, remember... — Dziatwa londyńska w dniu 5 listopada przeciąga przez ulice, udając „spiskowców"

„Slum-clearance"

Władze miasta Londynu przystąpiły do zakrojonej na olbrzymią skalę akcji, a mianowicie do zupełnej przebudowy t. zw. „slums", tj. dzielnicy, zamieszkałej przez najuboższą ludność.

Plan przewiduje rozbiórkę zupełną 32 tysięcy domów zawierających ponad 50 tysięcy mieszkań. Będzie to miało ogromne znaczenie dla podniesienia hygjeny i polepszenia warunków bezpieczeństwa stolicy, — w „slumsach" bowiem gnieździły się najgorsze męty społeczne, bytujące tam w warunkach, urągających zasadom nowoczesnej hygjeny.

Koszty przebudowy obliczone zostały na 35 miljonów funtów szterl., a prace wstępne prowadzone są już od dość dawna.

MAURICE DONNAY

Powrót z Jerozolimy

Sztuka w czterech aktach. — Przekład Marji Orzechowskiej

MICHAŁ. — Bez wątpienia.

JUDYTA. — Och! Tego już zawiele... Jak możesz mówić coś podobnego? Jesteś tego pewien?

MICHAŁ. — Ależ tak.

JUDYTA. — To znaczy, żebyś nie przestał kochać.... przeciwnie... Ale twoja duma, twój honor, jak mówisz, rozkazałyby ci nie znać mnie więcej i wolałbyś cierpieć jak bydlę. ...y nie tak?

MICHAŁ. — Być może.

JUDYTA. — Oto coś, czego nie pojmuję... czego nie pojmę nigdy.

MICHAŁ. — Dlatego, że pewne rzeczy odczuwamy w inny sposób.

JUDYTA. — To pewnie dlatego, że jestem semitką.

MICHAŁ, (z uśmiechem). — Ależ tak, parszywą Żydówką.

JUDYTA. — A ty aryjczykiem, czystym aryjczykiem. Widzisz, to ty zawsze wszczynasz kłótnie religijne. A przecież, przypomnij sobie dzień w Jerozolimie, gdzie nam się spodobało zwiedzić w ciągu jednego popołudnia trzy świętości: ruiny Świątyni, Grób święty i Meczet. Wieczorem, gdyśmy zasypiali, doszliśmy do przekonania, że prawdziwem sanktuarjum w tem mieście po trzykroć świętem, jest nasz skromny pokój hotelowy, gdzieśmy się posiedli namiętnie, i że istnieje tylko jedna religja: miłość.

MICHAŁ. — Gdyśmy doszli do tego przekonania, byliśmy bardzo zmęczeni.

JUDYTA. — Nie żal się, mój kochanku najdroższy; będziemy jeszcze mieli dnie i noce tak piękne, że nie będziemy mogli uwierzyć w ich jutro. (Całują się.) — Tylko, tych emocyj trzeba szukać; trzeba zmieniać horyzonty, bo wobec nowych widoków, stajemy się nowymi kochankami. Chciałabym być włóczęgą, nomadką, cyganką, kosmopolitką. Ach! Przedewszystkiem nie bądźmy domatorami.

MICHAŁ. — Ależ ja niczego więcej nie pragnę, nie jestem domatorem.

JUDYTA. — Jesteś mój skarbie słodki, obawiasz się zmiany miejsca... To nie twoja wina... To pochodzi od nieruchomych wzorów, jakie miałeś przed oczyma. (Śmieje się). — Kiedy ci zaproponowałam podróż do Jerozolimy, sądziłeś, żem zwarjowała, to ci się w głowie nie mieściło. Twoje marzenia kołysały się jak gondola na włoskich jeziorach. Ciebie trzeba popychać. Zostaw mnie kierownictwo swoich ruchów.

MICHAŁ. (całując ją). — Kieruj mną.

JUDYTA. — Słuchaj skarbie, podpiszesz?

MICHAŁ. — Co takiego?

JUDYTA. — Przystąpienie do ligi... do ligi Saula Hoendelssohna.

MICHAŁ. — Jakto? Jeszcze o tem myślisz?

JUDYTA. — Podpiszesz. Musisz podpisać... obiecałam..

MICHAŁ. — Też powód!

JUDYTA. — Ach, gdybym mogła podpisać za ciebie.

MICHAŁ. — Toby było oszustwo.

JUDYTA. — Jeśli nie podpiszesz, zobaczysz co cię spotka.

MICHAŁ. — Proszę cię, nie mówmy już o tem.

JUDYTA. — Nie, nie, oczywiście... nie wspomnę już nigdy. Ale nie bądź niesprawiedliwy w stosunku do Saula, to człowiek...

MICHAŁ. — Tak głęboki, tak czysty i o takiej inteligencji!

JUDYTA. — Zabraniam ci wyśmiewać się z moich powiedzeń. Nie, na serjo, nie znam bardziej wykształconego człowieka: jak go poznasz, będziesz go ubóstwiał.

MICHAŁ. — Być może.

JUDYTA. — Jestem pewna... Zresztą nietylko Saula będziemy zapraszali, ale wogóle ludzi interesujących.

MICHAŁ. — Dużo ich znasz?

JUDYTA. — Tak, z moich dawnych znajomości. A potem poznamy tych, których jeszcze nie znamy.

MICHAŁ. — Z chwilą, gdy ktoś się okaże interesującym, zaprosimy go na obiad.

JUDYTA. — Doskonale... w ten sposób ma się salon.

MICHAŁ. — Nawet jadalnię... a może nawet.... sypialnię?

JUDYTA. — Będziesz cicho?... A pozatem będziesz pracował.

MICHAŁ. — Nic innego nie będę robił.

JUDYTA. — Jesteś próżniakiem.... Nie, nie, skarbie, nie gniewaj się... nie jesteś próżniakiem, ale jesteś marzycielem, myślicielem... to tosamo.. następnie, nie posiadasz ambicji; trzeba mieć ambicję. Spójrz na swoich mniej wartych kolegów, jak oni się rzucają, wiele czynią hałasu, Naprzykład mały Chérange; jakie stanowisko zdobył, dzięki jednej, jedynej książce.

MICHAŁ. — Nie mów mi o nim.

JUDYTA. — Jednak jest mimo wszystko przywódcą Stowarzyszenia Młodzieży Intelektualnej.

MICHAŁ. — Nie ma sześćdziesięciu lat, to zadziwiające! Przywódcą Stowarzyszenia Młodzieży Intelektualnej.. Co to ma znaczyć, pytam się ciebie... Oto tytuł samowolny, co się zowie... I jakież jego uzasadnienie?

JUDYTA. — Nie zrozumiałeś mnie. Chcę powiedzieć, że nie umiesz wyciągnąć korzyści ze swojej pracy. Napisałeś bardzo piękne książki: „Prawo Słabszego", to rzecz zachwycająca... Słyszałeś, co Saul powiedział.

MICHAŁ. — Och! jeżeli Saul powiedział!

JUDYTA, (siadając na kolanach Michała). — Nie masz stanowiska, na jakie zasługujesz.

MICHAŁ. — Zadowalam się tem, co mam.

JUDYTA. — Nie, bądź rozsądny.

MICHAŁ. — Nie jestem nawet przywódcą Stowarzyszenia Zidjociałych Starców.

JUDYTA. — Na to trzeba znać ludzi wpływowych, wyrobić sobie użyteczne stosunki; rozumiesz?

MICHAŁ. — Użyteczne? Och rozumiem; tylko, jeżeli się tych rzeczy nie robi instynktowo, to się je źle robi.

JUDYTA. — Bądź spokojny... moja w tem głowa.... biorę to na siebie, pozwól mi działać. Ale czy będziesz mnie słuchał?

MICHAŁ. — Słucham cię.

(Całują się długo).

JUDYTA. — Która godzina?

MICHAŁ. — Czwarta.

JUDYTA. — Chcesz się trochę przejść?

MICHAŁ, (bardzo czuły). — Och! przejść się? Myślisz?

JUDYTA. — Tak, tak, to będzie rozsądniej.... dom pełen robotników. Pójdźmy na tę terasę w Tuileries, wiesz, skąd widać jak słońce zachodzi nad Polami Elizejskiemi. Tam, o tej samej porze zeszłego roku, wyznaczyliśmy sobie nasze pierwsze rendez - vous.

Byłam tego dnia taka szczęśliwa i taka smutna zarazem. Naraz niebo się stało różowe i wszystko było różowe: pomniki, terasa i my sami. Jakże to było piękne! Potem nastała noc... Słychać było dzwonienie statków na Sekwanie, jak małe, pośpieszne dzwonki na Anioł Pański. I przyszło nam się rozstać i pcraz pierwszy powiedziałam ci: „Na przyszły rok w Jerozolimie!".... Pamiętasz?

MICHAŁ. — Pamiętam.

JUDYTA. — Niebardzo się pomyliłam.

MICHAŁ. — No, idź się ubierać.

JUDYTA. — To nie potrwa długo; ale przedtem powiedz, że mnie kochasz.

MICHAŁ. — Uwielbiam cię.

(Całują się).

JUDYTA, (bardzo pieszczotliwie). — Słuchajno gołąbku?

MICHAŁ. — Co?

JUDYTA. — Podpiszesz?

MICHAŁ, (z komiczną rozpaczą). — Och! Liga!

JUDYTA, (uciekając). — Dobrze, dobrze, już nigdy o niej nie pisnę; słyszysz? nigdy.

Akt III.

(Półtora roku później w Paryżu, w maju. Te same dekoracje, co w II akcie, tylko salon jest kompletnie umeblowany; dekoracja jest zresztą bardzo eklektyczna, z wyraźną predylekcją do dzieł sztuki modern, nieco dziwacznych. Obrazy szkół impresjonistycznych, futurystycznych itd. Głowy prerafaelickie. Może być jakiś Gustaw Moreau itd. Na kominku grupa Rodin'a, przedstawiająca mężczyznę, czepiającego się rozpacznie i symbolicznie bioder kobiety.

Po śniadaniu, przy czarnej kawie. Obecni: Judyta, Anna Daincourt, Michał, wuj Emil, Jakób Vowenberg, Moissac, Trévières, Afklerowie: mąż i żona: Narcyz Afkler, dyrektor czasopisma Oréopanax i Paulina Afkler, doktor Lurdau, tęgi starzec, z piękną, białą brodą).

Scena 1.

JUDYTA, ANNA, PAULINA AFKLER, MICHAŁ, VOWENBERG, WUJ EMIL, DR. LURDAU, NARCYZ AFKLER, MOISSAC, TREVIERES.

(Przy podniesieniu kurtyny, wszystkie te osoby są podzielone na trzy grupy. Na pierwszym planie, na lewo, Judyta i Anna; na prawo Michał, Vowenberg, Moissac, Trévières, Afkler; na drugim planie Dr. Lurdau i Paulina Afkler, bardzo zajęci rozmową. Wuj Emil, odosobniony czyta numer Oréopanax, który wyszedł tego rana.

ANNA. (do Judyty). — Wiedziałaś już o tem? Jakim sposobem?

JUDYTA. — Prawdopodobnie ktoś mi powiedział.

ANNA. -- Kto ci powiedział?

JUDYTA. — A więc, widziano was kiedyś razem w Palace.

ANNA. — Tak jest. Istotnie piliśmy tam herbatę. To mnie nie dziwi: była tam cała masa złych języków, które siedziały i gapiły się na mnie, wytrzeszczywszy oczy!

JUDYTA. — Dowiedziałam się o tem tego samego dnia, w godzinę potem... jeden z tych złych, siedzących tam języków wstał i przyszedł mi powiedzieć.

ANNA. — Założę się, że to ten koń Vowenberg; on tam był. A zresztą gwizdam na to. Niewiele mnie to obchodzi... Tym razem, moja droga Judyto, zdaje mi się, że dosiadam rumaka wielkiej namiętności.

JUDYTA. — To łaska, której ci życzę.

ANNA. — Tylko, do licha, nie przyjdzie mi łatwo zerwać z tamtym.

JUDYTA. — A! z poprzednikiem... więc to niezałatwione?

ANNA. — Nie, i grozi przyczepieniem się.

JUDYTA. — Rozumiem... ale masz przecie doskonały sposób pozbycia się go. Wystarczy, gdy mu powiesz: „Mój mąż wie o wszystkiem"...

ANNA. — Onby się nie wziął na to.

JUDYTA. — Dlaczego?

ANNA. — Bo popełniłam tę nieostrożność, żem mu powtórzyła naszą umowę z Jerzym... wiesz, jak to jest.. z początku bywają chwile, w których się mówi wszystko.

JUDYTA. — Jesteś niepoprawna. Anno. Jakto- rezerwujesz sobie bramę wyjścia i dajesz klucz do niej! Moja przyjaciółka Rachela, wiesz, ta, o której ci często opowiadam, Rachela Pfefferkorn zawarła podobną umowę z mężem; tylko, że ona nigdy się z tem nie zwierzyła swoim kochankom.

ANNA. — Tak, pewnie. Ale cóż robić?

(Tymczasem wniesiono kawę.)

MICHAŁ (odłączając się od swej grupy i podchodząc do Judyty). — Kawa jest już od chwili; możebyć się zajęła gośćmi?

JUDYTA. — A, prawda! (Do Anny) — Pomożesz mi, dobrze?

ANNA. — Oczywiście.

(Obydwie wstają i podają kawę. Michał wrócił do Vowenberga, Trévieresa i t. d.)

MOISSAC (biorąc ze stołu książkę). — „Godzinki sentymentalne" Lucjana Sprooma.

JUDYTA (ze swego miejsca). — To cudowna książka!

MOISSAC (czytając na stronie tytułowej). — *„Jej Inteligencji Judycie Fuchsyani... Odbito jedyny egzemplarz na starym papierze japońskim, z podpisem autora. — Sześć egzemplarzy na papierze japońskim imperial Mi-Tjui. — Sześć egzemplarzy na holenderskim van Gelder. — Dwadzieścia egzemplarzy na chińskim You-Tsching."* To mi wystarczy, nie pójdę dalej.

VOWENBERG (z siłą). — I jeden egzemplarz na skórze ludzkiej!

((Bierze książkę.)

MOISSAC. — Doskonały był ostatni numer Oréopanaxu, Afkler.

AFKLER. — Tak, bardzo interesujący... jest piękny artykuł doktora Lurdau, prawda? Sądzę, że narobi hałasu.

MOISSAC. — „Hulaj dusza". Kto się podpisuje Torpille?

AFKLER. — To chłopak, który był w marynarce.

MOISSAC. — I który jest w trakcie zatapiania jej.

AFKLER. — Właściwie, to dopiero początek serji. Dostajemy w Oréopanaxie fantastyczną ilość rękopisów.

MICHAŁ. — A propos czego?

AFKLER. — A propos wszystkiego. Następnie opublikujemy „Pamiętniki Pielęgniarki", „Wspomnienia Pucybuta" i „Dziennik szkolnego tercjana". Mój drogi, zdarzają się rzeczy, którychby się nikt nie spodziewał. Posłuchaj, kogo mieliśmy wczoraj na obiedzie: człowieka, którego zamknięto, jako warjata... Opowiadał nam przerażające historje. Moja żona była potem zupełnie chora... nie mogła spać w nocy... (krzycząc) — Prawda, Paulino?

PAULINA (w drugim końcu salonu). — Co chcesz, Narcyzie?

AFKLER. — Ten człowiek, wczoraj?

PAULINA. — Jaki człowiek?

AFKLER — Którego wzięto za warjata.

PAULINA. — Aa, tak.

(Wraca do swej rozmowy z dr. Lurdau).

VOWENBERG, (kładąc na stole „Godzinki Sentymentalne"). — Moissac, nie ma pan słuszności, lekceważąc tę książkę... mówię panu, że to pierwszorzędna rzecz.

MICHAŁ. — Czytałem ją... to przedewszystkiem bardzo zręczne.

VOWENBERG. — Och! Więcej jak zręczne.... posiada wszystkie zalety Stendhala, tylko więcej głębi i przedewszystkiem więcej stylu.

MICHAŁ. — O, nie, panie Vowenberg! Niech pan nie wymawia imienia Stendhala obok tego jakiegoś Sprooma. Stendhal, to jednak całkiem co innego.

(C. d. n.)

SWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

— Zawsze jednako modne, a noszone zarówno do kostjumów jak i do sukien wieczorowych, bluzki są tego roku prawie bez wyjątku wszystkie wpuszczane pod spódniczkę. Skromniejsze, praktyczniejsze, robi się z jerseyu lub wełny, strojniejsze z crepe satin, lamy lub jedwabiu. Krój prosty, rękawy długie.

— Praktyczną nowością są wełniane garsonki, zaopatrzone we futrzane kamizelki z breitszwanców, baranków strzyżonych, lub futra małp.

— Kolor szkarłatny lub czerwień pelargonji, to najmodniejsze kolory na suknie wieczorowe. Odpowiednie są one tylko dla pań wysokich, o ładnej postawie.

— Rękawiczki, pasek i torebka w jednakim kolorze stanowią miły kontrast z resztą kompletu. Bardzo oryginalnie np. wyglądają ciemnoczerwone rękawiczki przy kostjumie barwy oliwkowej.

— Siatki na włosy „à la Schiaparelli" przyjęły się zwłaszcza przy toaletach aksamitnych, wzorowanych na mistrzach starowłoskiej sztuki. Składają się one ze złotych nici i perełek.

— Pasmanterje, sznury, sutasze, szamerowania, epolety nadają strojom charakter napoły wojskowy. Należy jednak z ozdobami temi być bardzo oględną, aby nie wywołać efektu raczej... operetkowego.

Widzi się coraz więcej toczków czy to futrzanych, czy aksamitnych, o zgoła fantastycznych formach. Wszystkie przybrane bogato, przedewszystkiem piórami. I to niekoniecznie strusiemi, — wystarczą nawet kogucie!

— W dziedzinie obuwia formalny przewrót: dzisiejszem hasłem jest: niski obcas, a nos ścięty kanciasto, prawie kwadratowo. Jako obuwie sportowe tzw. „mokasyny", o dość szerokiej, wystającej po bokach podeszwie, sznurowane dość wysoko.

Na popołudnie pantofelki zamszowe lub chevreau, ozdobione inkrustacjami. Wieczorem sandałki z aksamitu, lamy, brokatów, nawet z celofanu. Obuwie wieczorowe również na niskich obcasach, lub nawet zupełnie bez obcasów, niby tureckie pantofelki.

— Do kostjumów sportowych pończochy przeważnie wełniane, w żywych kolorach. Popołudniu pończoszki cienkie, w modnych obecnie kolorach: palonych migdałów, ceglastym i brudno - niebieskim. Wieczorem tak cieniutkie i przejrzyste, że wydają się niemal niewidzialne, nierealne...

— Bielizna dzienna, przeważnie z jedwabnej trykotiny, ozdobioną bywa bardzo skąpo i dyskretnie wstawkami, koronkami i ażurami. Natomiast tem obficiej ozdabia się bieliznę nocną. Modna nocna koszulka, przybrana suto ciężkiemi koronkami i haftami, przewiązana w pasie choćby wstążką, — przypomina raczej elegancką toaletę wieczorową.

Wracają również do łaski pyjamy, ostatnio nieco zapomniane.

Z kolorów dominuje różowy w licznych pastelowych odcieniach.



Skromna, a elegancka suknia wieczorowa, której cała piękność polega na nienagannym kroju.

Kącik kosmetyczny

W pogoni za „modną" linją kobieta zdolną bywa do największych poświęceń, prywacyj i ofiar. Wyrzeknie się ulubionych potraw, słodyczy, kawy, czekolady, ciasteczek,. „Niedożywiona", ciągle głodna, uważnie śledzi wskazówki wagi, aby się przekonać, że w ciągu miesiąca ubyło jej jednak jakie kilo lub półtora, — że zbliża się do wymarzonego ideału „przepisowej" wagi!

Niewolnice mody, bezwzględnej, a poprostu... głupiej! Zapominają o tem, że natura sama normalnie reguluje rozwój wszystkich tkanek organizmu, — że przy normalnym trybie życia kobieta zupełnie zdrowa fizycznie, przestrzegająca zasad hygjeny i koniecznej kultury fizycznej, nie potrzebuje „poprawiać" natury żadnemi sztucznemi środkami, z reguły nie obojętnemi dla organizmu.

Sport, kąpiele, masaże, gimnastyka, — oto niezawodne, a zupełnie wystarczające środki dla utrzymania smukłej, zgrabnej sylwetki.

Nie zajmujmy się więc temi dobrowolnemi męczennicami mody! Pomówimy raczej o kobietach chudych, lub chudnących nadmiernie z innych przyczyn. Objawy te wymagają stanowczo ingerencji lekarza; on jeden tylko potrafi bowiem, po dokładnem zbadaniu orzec, czy nie są one następstwem lub jednym z objawów jakiejś poważniejszej choroby. W rachubę wchodzić tu mogą: choroby gorączkowe, gruźlica, zaburzenia czynności niektórych gruczołów, choroba Basedowa, cukrzyca.

Nierzadko jednak przyczyna nadmiernego chudnięcia może leżeć gdzieindziej. Męczący tryb życia, kłopoty i wzruszenia, zbyt forsowne i częste chodzenie, — wszystko to powoduje brak apetytu, odbiera ochotę do jedzenia. Trzeba więc usunąć źródło zła: zmienić odpowiednio tryb życia, jadać często i regularnie w ustalonych godzinach, — a po każdym obfitszym posiłku bezwarunkowo wypocząć jakie 15—30 minut.

Ważną również jest rzeczą odpowiednio urozmaicone, smaczne i ładnie podane menu. Największy nacisk kładziemy na potrawy zawierające dużo tłuszczu i węglowodanów. A więc: mąka, cukier, kasze, grysiki, dużo masła, śmietanka, miód, leguminy. Mięsa stosunkowo niewiele i to raczej pieczone. Dziczyzna, drób, ryby stanowią pożądane a miłe urozmaicenie.

Nie żałować przypraw korzennych i pikantnych sosów dla pobudzenia apetytu. Szklaneczka piwa do obiadu również dobrze zrobi.

W ten sposób, przy koniecznej systematyczności, można z łatwością sobie poradzić.

Kuracje arszenikowe, czy stosowanie insuliny dają dobre rezultaty, — są to jednak zabiegi, które może stosować tylko lekarz, mający możność stałego obserwowania swej pacjentki.

Jedzmy morskie ryby!

Stanowczo zamało jemy ryb morskich! A przecież jest to pożywienie i smaczne i zdrowe i tanie. Pamiętać przytem należy, że zwiększona konsumcja ryb wpływa dodatnio na bilans handlowy naszej gospodarki morskiej.

Wiele osób ma pewne uprzedzenie do ryb morskich z powodu ich charakterystycznej woni. Ale można temu z łatwością zaradzić, trzeba tylko wziąć się odpowiednio do rzeczy.

Ryb morskich nie moczy się nigdy we wodzie! Oczyszczamy je na sucho poczem obmywamy w kilkakrotnie zmienianej wodzie, a po osączeniu należy je sparzyć lekko osoloną wrzącą wodą.

Dobrze jest po osączeniu skropić lekko rybę sokiem cytrynowym, dzięki czemu mięso staje się jędrniejsze.

Ryby morskie przyrządzamy w najrozmaitsze sposoby: smażone, duszone, gotowane. W tym ostatnim wypadku trzeba zawczasu przygotować esencjonalny smak z włoszczyzny, z dodatkiem korzeni i cebuli. Do wystudzonego smaku wkładam rybę, poczem gotuje na wolnym ogniu. Po zagotowaniu naczynie odsunąć i trzymać je pod przykryciem na gorącej blasze przez godzinę. W ten sposób nabierze ryba soczystości i smaku

—o—

Poradnik dla gospposi

GOŁĘBIE a la KUROPATWY

Tłuste, młode gołębie skropić dobrze octem, niech leżą godzinę, nasolić, naszpikować cienką słoniną i piec na rożnie lub patelni, polewając je często masłem. Na dopieczeniu posypać tartą bułką i oblać jeszcze raz masłem.

ŚLEDZIE MARYNOWANE NA SPOSÓB MINOGÓW

Śledzie moczyć przez dobę, następnie, uciąwszy im głowy, powieszać na sznureczku za ogony, aby obeschły z wody należycie. Po kilku godzinach, wlawszy świeżej oliwy na patelnię, obsmażyć je lekko z obu stron, ułożyć na salaterkę, przełożyć liśćmi bobkowemi, pieprzem angielskim i zwyczajnym, plasterkami cytryny i zalać przegotowanym wystudzonym octem, dodając oliwy z patelni.

OMLET Z GĘSIĄ WĄTRÓBKĄ.

Zrobienie omletu nie jest rzeczą trudną, należy jednak zachować koniecznie pewne stałe przepisy. Przedewszystkiem nienależy nigdy robić jednocześnie omletu z większej ilości jaj, tak aby ich warstwa niebyła zagruba. Na dużej patelni można rozbić najwyżej 8—10 jaj. Jaja muszą być dobrze ubite, aby stanowiły jednolitą masę. Wylewać je na tłuszcz należy wtedy, gdy ten się zaczyna rumienić. Tłuszczu musi być sporo aby jajka nie przylgnęły do dna patelni. Specjalny, doskonały smak omletu polega na tem, aby nie był barwy jajecznicy, ale się ładnie na kolor złocisty zarumienił. Kiedy się zarumieni z jednej strony, obracamy go zręcznie na drugą, bacząc, aby nie było zamało tłustości.

Normalnie liczymy po 2 jajka na osobę 5 jaj może jednak wystarczyć na 3 osoby o ile są inne dania. Na tę ilość jajek potrzeba około 25 gramów masła, czyli dobrą łyżkę stołową.

Łyżeczkę masła zasmażyć z połówką siekanej cebuli, wrzucić w gorące i już rumiane posiekaną niezbyt drobno gęsią wątróbkę, podsmażyć krótko, żeby nie stwardniała, posolić na samym końcu, ułożyć na omlecie i zawinąć go w rurę.

WYKWINTNE DANIE Z RESZTEK

Resztki pieczeni cielęcej szynki, indyka i t. d. pokrajać w zgrabną kostkę. Wymieszać z kilkoma łyżkami beszamelu, ułożyć na ogniotrwałym półmisku, wysmarowanym cienko masłem deserowem. Zlać po wierzchu beszamelem skropić masłem sklarowanem, posypać tartym serem szwajcarskim, albo parmezanem i zapiec w piecu na złoty kolor. Można też dodać do mięsa kilka łyżek ugotowanego na sypko groszku zielonego.



Zgrabny ten kostjum, odpowiedni tylko dla młodych pań o smukłej sylwetce skomponowany został pod niezaprzeczonym wpływem nastrojów wojennych.

Z WYDAWNICTW

W Nr. 46 „Bluszczu" mamy wezwanie do ankiety z nagrodami p. t. „Młodość ma głos!" Redakcja zwraca się do najmłodszych swoich Czytelniczek z zapytaniem „Czy chcę wyjść zamąż i dlaczego?" W dziale literacko-społecznym artykuły K. Muszałówny: „Czy dziecko ulicy musi żebrać?", reportaż: „W Izbie Zatrzymań", korespondencje: „Dookoła klubu księcia Gloucester", dalszy ciąg powieści „Cierń", obrazki „Oczami dziecka" artykuł ekonomiczny „Dochody i utrzymanie", korespondencje z Gdańska, recenzje z teatrów, z kin, przegląd prasy bogato ilustrowane aktualja. W dziale „Muzyka na codzień" mamy wskazówki: „Układ ręki ucznia" oraz utwór muzyczny „Chińskie lalki".

Numer uzupełniają zwykłe działy praktyczne oraz piękne modele sukien i wzór jumpra na drutach.

Gdy brzęczał lwowski „Ul“

Nie trzeba dziś przypominać, jak wielki wpływ na całe życie literacko-artystyczno-społeczne Polski z roku 1905 i później, wywarło powstanie „Zielonego Balonika“, pierwszego polskiego kabaretu; jak duch jego wyczyniał przedziwne harce w umysłach współczesnych, ba, nie tylko w umysłach, ale i we wszystkich dziedzinach prawie życia zbiorowego. — Boy, któremu wielce przypadła do smaku rola „odświeżacza“ stęchłej, zaśniedziałej, martwej atmosfery Krakowa i biczownika drobno-mieszczańskich poglądów, stawał się powoli swego rodzaju sławą i wzorem, godnym do naśladowania w podobnych poczynaniach. Wokół „Balonika“ powstał wir, mącący, a niejednokrotnie i oczyszczający zastałe wody i mielizny.

Ale jako że Kraków nie miał wyłącznego monopolu na posiadanie ludzi młodych, zapalonych, utalentowanych i zdolnych do rzeczy wybiegających poza bardzo szarą i mierną przeciętność, przeto i we Lwowie, w dwa lata po powstaniu „Balonika“ zrodziła się w głowach paru śmiałków myśl założenia kabaretu literacko-artystycznego. Pomysł ten urzeczywistniono w rok później, tj. w jesieni 1908 r. Był to czas niezmiernie dla tego rodzaju imprez korzystny; a tembardziej jeśli w realizowaniu ich brali udział ludzie tego pokroju, jak Zbierzchowski Henryk, Bandrowski Jerzy i inni. Jeden program szedł miesiąc przy sali (a raczej piwnicy, gdyż przedstawienia odbywały się w podziemiach jednej ze znanych winiarni lwowskich) nie wypełnionej, lecz przepełnionej do ostatnich możliwych granic. Lwowski kabaret — wzorowany częściowo na „Baloniku“ — zwał się krótko i zwięźle „Ul“ i istotnie było w nim gwarno, rojno i wesoło, jak w ulu.

W życiu literackiem Lwowa „Ul“ znaczył nie mało: był lampą, do której zlatywały się różnokolorowe motyle przyszłych sław literackich, był dla niejednego — i to nawet wielkiego — talentu odskocznią i wskaźnikiem kierunkowym. Lecz i dla zwykłych zjadaczy chleba „Ul“ miał nieodparty urok, przyciągał swą odrębnością i śmiałością, wnosił w ich życie posmak lekkiej pikanterji, nowości i wiew szerokiego świata. Ci, co uczęszczali na jego przedstawienia, pamiętają je do dziś dnia i muszą czuć głęboką wdzięczność do H. Zbierzchowskiego, za wskrzeszenie, za odświeżenie dawno przebrzmiałych wspomnień, za wzbudzenie ech młodości w audycji nadanej ze Lwowa p. t. „Kabaret mojej młodości“. Podana w niej geneza powstania „Ula“ znakomicie zorjentowała ogromną większość nie znających tej instytucji, w jej historji i znaczeniu dla ówczesnego Lwowa. Zaś oblicze utworów, wchodzących w zakres tej audycji — o dziwo — zaledwie gdzieniegdzie zdradzało swój prawdziwy wiek zbliżający się do trzydziestki, dyskretnie zamaskowany przez umiejętny wybór i lekkie pociągnięcia ołówkiem, nie do brwi czy warg, lecz reżyserskim. Była to naprawdę audycja o wysokiej wartości gatunkowej. Jedynie parę zastrzeżeń wzbudziły we mnie piosenki śpiewane przez Władę Majewską, a wybrane z repertuaru „naiwnej“, gdyż styl ich wykonania wyraźnie kłócił się z ich charakterem. Majewska nie ma szans zrobienia karjery jako „pierwsza naiwna“ i ostatecznie trudno od niej wymagać, by ją „robiła“ równie świetnie, jak swe parodje.

Minuty literackie znanego lwowskiego literata i dziennikarza Kazimierza Rychłowskiego uderzały w najczulszą strunę duszy akżdego chyba człowieka. Tytuł ich „Serce matki“ mówi sam za siebie, choć nie może nic powiedzieć o subtelnych, a mocnych przekładach autora tej audycji, wierszy w niej pomieszczonych, ani o przepięknej ich deklamacji Bronisława Dąbrowskiego. Deklamacja ta wydobyła całe uśpione piękno wierszy Richepin'a, Heinego, Kiplinga. Słuchać by ich można znacznie dłużej, niż trwała ta piękna, nastrojowa audycja.

„Pamiętnik poetycki duszy lwowskiej“, to ciekawie ujęty feljeton Henryka Balka. Mówił on o jakby upośledzeniu Lwowa, któremu brak trubadura opiewającego jego mury. Są wiersze o innych miastach (należą do nich Kraków, Wilno, Warszawa), a niema o Lwowie, choć kto wie, czy właśnie nie Lwów jest miastem najbardziej poetycznem? Uważam jednak, że autor feljetonu zbyt surowo osądził twórczość Mieczysława Opałka, silnie ze Lwowem związaną i wyrosłą na jego podłożu. A również może zbyt wiele uwagi poświęcił poecie tak miernemu, jak B. Jasieński. Interesująca ta inteligentna prelekcja, choć wzniecała powyższe zastrzeżenia, należała jednak do typu audycyj bardzo dobrych.

Żołnierskie cotygodniowe audycje są naogół mało słuchane przez „cywilów“. A szkoda, bo ich opracowanie i przygotowanie stoi zwykle na oziomie tak wysokim, jakiego tylko życzyćby sobie można. I często wśród tych żołnierskich audycyj trafiają się takie perełki, jak ostatnia „Zawsze wierna — broń pancerna“, pióra Budzyńskiego z udziałem Szczepka i Tońka. Poprostu kapitalny humor tego obrazka i jego wykonanie zalecałyby się do powtórzenia i to jaknajszybszego, by ci z „cywilbandy“, którzy czyto nie mogli, czy też nie chcieli (z powodu braku zaufania) słuchać tej audycji, mogli śmiać się równie szczerze i szeroko, jak ci, co ją słuchali w ubiegły poniedziałek.

IRENA NAŁĘCZ.

Głośniki we fabrykach

Ogromną wartość muzyki i śpiewu podczas każdego wysiłku fizycznego oceniło przedewszystkiem wojsko. Żołnierz, zmęczony i wyczerpany długim marszem lub ćwiczeniami, odżywa momentalnie z chwilą, gdy muzyka zacznie grać wesołego marsza. Prostu je się grzbiet, nogi wybijają miarowy takt, wypogadza się zmęczone oblicze.

Toż samo zjawisko obserwować można przy każdej mechanicznej, monotonnej pracy. Opowiadano mi ciekawy epizod z życia przedwojennej Ukrainy. Na plantacjach buraków cukrowych pracowały długie sznury dziewcząt. Praca to niesłychanie męcząca. Na uboczu stała oryginalna „orkiestra“ wiejska: jakieś skrzypki, bęben i flet. Domorośli muzykanci wygrywali niemal bez przerwy, od wczesnego rana do zmroku, skoczne, wesołe melodje. Aż uszy bolały. A bęben huczał i huczał...

Muzyka to była, pożal się Boże! Ale bądźcobądź trzej grajkowie dostawali co dnia po kilkadziesiąt kopiejek za swą pracę. Wydatek — zdawało się — niepotrzebny i nieproduktywny. Inaczej jednak zapatrywał się na tę sprawę przedsiębiorca: jego zdaniem muzyka opłacała się sowicie, — dziewczęta bowiem pracowały przy niej o wiele raźniej, z ochotą, zapominając o zmęczeniu, — co odbijało się bardzo wyraźnie na wydajności ich pracy.

Tak było już przed wojną. Potem, w miarę postępu mechanizacji pracy, nawracano coraz częściej do tego środka: muzyka „dumpinguje“ robotnika, w sposób skuteczny a zupełnie nieszkodliwy.

Zastosował ten środek na wielką skalę pierwszy Ford w swoich zakładach, uzyskując zapomocą koncertów z radja i z płyt zwiększenie się wydajności pracy robotników o 20 proc.

A co ważniejsze, muzyka działa ogromnie korzystnie na psychikę i samopoczucie robotnika, jest środkiem równocześnie podniecającym i łagodzącym.

To też nic dziwnego, że w nowoczesnych zakładach przemysłowych, zwłaszcza takich, gdzie praca została zmechanizowana i nie wymaga większego wysiłku myślowego, — instaluje się głośniki. Płynąca z nich muzyka nietylko uprzyjemnia, ale i ułatwia znacznie pracę robotników.

Sprawą tą zajął się bliżej warszawski „Instytut Spraw Społecznych“, wypowiadając się zasadniczo za wprowadzeniem audycyj radjowych we fabrykach i zakładach przemysłowych, gdzie warunki i rodzaj pracy na to dozwalają. W rachubę wchodziłyby wyłącznie lekkie audycje muzyczne.

Jak się dowiadujemy, jedna z największych fabryk we Lwowie wprowadziła to urządzenie już od dość dawna, — ku pełnemu zadowoleniu obu stron zainteresowanych, tj. pracodawcy i robotników. Muzyka radjowa okazała się przytem o wiele więcej wartościową, niż nakręcanie płyt gramofonowych. Zapas płyt wyczerpuje się szybko, co powoduje nieuniknioną monotonję i wkrótce powszedniеje. Namiast robotnicy bardzo sobie chwalą audycje radjowe, przynoszące ciągle coś nowego.

Co więcej, w czasie wypoczynku dopominali się sami niejednokrotnie o „puszczenie“ radja, — bo „może tam właśnie nadają jakieś ciekawe wiadomości“....

W ten sposób budzi się w nich zainteresowanie i zrozumienie dla radja. I kto wie, czy niejeden z nich nie zmajstruje sobie sam odbiornika i nie stanie się wiernym przyjacielem radja?

W interesie samych przedsiębiorców życzyćby należało, aby wszędzie, gdzie warunki pracy na to pozwalają, znalazły się dobre głośniki. Aby czyto podczas pracy, czy w czasie południowej przerwy płynęła z tych głośników lekka, wesoła muzyka. Bo przecież muzyka nietylko daje ochotę do pracy, ale i uszlachetnia!

(LUCY)

O radjofonizacji miast

Z ostatnich komunikatów dyrekcji P. R. dowiadujemy się, że 26 największych elektrowni w Polsce podjęło się akcji spopularyzowania radja przez dostarczanie na spłaty dobrych aparatów, zmontowanie anten i inne ułatwienia i udogodnienia, mające zachęcić klienta do kupna odbiornika i wpisania się w poczet radjoabonentów.

Pomysł to, zasługujący na pochwałę i uznanie. System „ratalny“ tak się dziś rozpowszechnił i zaaklimatyzował w całym kraju, że w zasadzie akcja ta powinna dać oczekiwane wyniki.

Jest jednak pewne „ale“. Oto akcja ta zbiega się prawie z ponownem obniżeniem poborów urzędniczych we formie nadzwyczajnego podatku od dochodu służbowego. Obniżka ta, wchodząca w życie już z dniem 1 grudnia, przekreśla, a przynajmniej obniża wydatnie dotychczasowy budżet każdego urzędnika i wogóle całego stanu średniego, stanowiącego przecież rdzeń społeczeństwa.

Już dzisiaj trzeba sobie dobrze łamać głowę nad skonstruowaniem budżetu grudniowego w taki sposób, by można było związać koniec z końcem. Trzeba będzie wyrzec się niejednej przyjemności, niejednej kulturalnej rozrywki. — Zrezygnować może i zteatru i z kina i z kawiarni i z zakupna paru wartościowych książek.

Zostawić chyba tylko radjo — swą żywą encyklopedję codziennego życia? A jeśli się nie ma dotąd odbiornika, zakupić go na raty? Boć to przecież najlepszy, niezawodny przyjaciel całej rodziny, zdolny z powodzeniem zastąpić i koncert i teatr i — po części przynajmniej — książkę. Nie wątpię zupełnie, że niejeden z tej szarej rzeszy skromnych pracowników umysłowych, skreślając w budżecie kilka pozycyj, (napewno z ciężkiem sercem, bo każda z nich miała swoje pełne uzasadnienie!) — zdecyduje się na zatrzymanie radja, względnie na zakupno odbiornika i płacenie abonamentu.

Tylko w tem sęk, że abonament ten — naszem zdaniem — jest jednak za wysoki, jak na dzisiejsze stosunki. Trzeba zerwać ze systemem „sztywnych cen“, — trzeba i na tem polu dostosować się do ogólnego prądu obniżki cen, równolegle z kurczeniem się pensyj.

Nowych radjoabonentów nie można szukać wśród szczupłej garstki ludzi uprzywilejowanych, bogatych, mających dochody idące w tysiące. Oni i tak albo już mają luksusowe pięciolampówki, — albo radjem zupełnie się nie interesują: nie mają na to czasu lub ochoty. I nie potrzebują systemu „ratalnych“.

„Radjofonizacja“ miast, to wciągnięcie w orbitę radja właśnie i jedynie tej rzeszy urzędników, średnio wynagradzanych, opierających cały swój budżet na „ratach“.

Wydatek miesięczny 5 lub 10 złotych mieści się w ramach możliwości, — jeśli za to dostanie się dobry radjoodbiornik. Ale dalsze obciążenie, 3 zł. miesięcznie za abonament, — to jednak już poważna rubryka.

Dziś, kiedy w Polskiem Radjo sfery rządowe mają decydujący głos i mogą wywierać odpowiedni wpływ na całą politykę i gospodarkę tej instytucji, — dyrekcja P. R. powinna poddać gruntownej rewizji dotychczasowy system opłat. Pamiętajmy o tem, że radjo jest instytucją kulturalno-oświatową. Że stało się niemal artykułem pierwszej potrzeby. Choćby kosztem pewnych ofiar powinno się dążyć do jak najszerszej radjofonizacji całego kraju, aby dotrzymać kroku naszym sąsiadom!

Więc trzeba obniżyć abonament, i to dość wydatnie! Złotówka miesięcznie, to wydatek, na który zawsze znajdzie się miejsce, w najskromniejszym nawet budżecie. Ale złotówka, — nie trzy!

Ostatecznie — niechby to była obniżka przejściowa, — na rok, czy dwa, dopóki sytuacja urzędnika nie ulegnie pewnej poprawie. Ale niech ona nastąpi zaraz, od 1 grudnia.

W ten sposób Polskie Radjo nietylko zaskarbi sobie wdzięczność swych dotychczasowych abonentów, ale przyciągnie ku sobie całe rzesze nowych. Nie mówiąc już o pladze „radjopajęczarzy“, którzy napewno zdecydują się na jednozłotowy wydatek, poprostu „dla świętego spokoju“.

Wówczas dopiero spodziewać się można, że rozpoczęta świeżo akcja „radjofonizacji miast“ da oczekiwane wyniki.

(ry-ski)